Nr. 166. Lwów. — Niedziela dnia 21 lipca. Rok 1889.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty:
We Lwowie bez dostawy: Miesięcznie — zł. 75 ct. Kwartalnie 2 „ 25 „ Półrocznie 4 „ 50 „ Rocznie 9 „ — „
Na prowincji z przesyłką pocztową: Miesięcznie 1 zł. Kwartalnie 3 „ Półrocznie 6 „ Rocznie 12 „
Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.
Numer kosztuje 4 centy.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.
Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.
Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.
Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują
Trafika J. Walnego przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.
Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: F. 6. po Św. Prak. Jutro: Marji Magdaleny. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 27 Zachód „ 7 „ 41 | Długość dnia g. 15 m. 14 Ubyło dnia 2 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 lipca.

Od wtorku nie słychać o skandalach w Paryżu. Cóż się stało? Oto parlament francuski został już zamknięty, a według wszelkiego prawdopodobieństwa w tym samym składzie nie będzie już więcej otwarty. Dnia 4 października kończy się bowiem czteroletnia kadencja ustawodawcza Izby francuskiej, a jest prawie rzeczą niewątpliwą, że rząd nie będzie już jej więcej zwoływał, lecz niebawem rozpisze nowe wybory.

Ustępujący parlament zostawia po sobie jak najgorsze wspomnienie, a większość ani ministerjum nie mogą się pochlubić żadnymi zasługami około dobra kraju, i ubiegły okres legislacyjny stanowi najsmutniejszy rozdział w dziejach niegdyś świetnego parlamentaryzmu francuskiego. Izba poprzednia była na kilka obozów, które się przeciągały wzajemnie w robieniu skandalów, obalaniu gabinetów, i obrzucaniu się błotem wzajemnie, wybitnej większości parlamentarnej nie było, ani też żadnego programu pracy, a jeżeli dwa stronnictwa łączyły się niekiedy, to chyba na to, aby co kilka miesięcy obalać ministerjum. Najmniej czasu poświęcono obradom nad dobrem kraju, a prawie żaden dzień nie przeszedł bez skandalu, to też w końcu zapanował taki zamęt w Izbie, że kraj musiał zbrzydzić sobie te stosunki i znaczna część ludności chwyciła się w końcu myśli zaprowadzenia dyktatury z kimkolwiekbądź na czele, byle tylko zmianę jaką sprowadzić. To też dziś w stuletnią rocznicę wielkiej rewolucji stoi we Francji kwestja monarchji bardziej niż kiedy indziej na porządku dziennym.

Okres ubiegły da się podzielić na dwie części, najważniejszymi wypadkami w pierwszej była sprawa Wilsona, proces Cafarella i spółki, wymuszone ustąpienie Grevy'ego w dniu 24 października 1887 i wybór Carnota jego następcą, drugiej części zaś nadaje bulanżyzm właściwe piętno. Bulanżyzm doszedł do swego dzisiejszego znaczenia skutkiem skandalów pierwszej epoki. Hasło jakie sobie Boulanger i jego stronnicy obrali, t. j. wystąpienie przeciw „parlamentarnemu złodziejstwu", znalazło posłuch w kraju skutkiem skandalów pierwszej epoki, gdzie najbrudniejsze czyny wysoko stojących osobistości na jaw wywlekano, w obec których nawet taki człowiek jak Grévy nie pozostał wolnym od zarzutu. Dlatego też przyszło, że po za całą akcją Boulangera i jego stronnictwa widoczne są cele czysto osobiste, znaczna część kraju upatrywała w nim zbawcę i torowała mu drogę do jego zamiarów. Republikanie lekceważyli sobie z początku jenerała i dopiero jego sukcesy wyborcze pokazały jak bliskiem i jak groźnem jest niebezpieczeństwo z tej strony.

Lecz ani Izba nie użyła przez długi czas odpowiednich środków do położenia tamy przewrotowemu działaniu Boulangera, a radykalny gabinet Floqueta nie miał odwagi użyć ostatecznych środków do obrony istniejącego porządku. Dopiero w ostateczności widząc, że tu rozchodzi się o egzystencję rzeczypospolitej, rozpoczęło ministerjum Tirarda energiczną walkę z Bulangerem i prowadzi ją wszystkiemi środkami jakie tylko są w jego mocy.

Ustawę o kandydaturach w kilku okręgach, mającą przeszkodzić wyborowi Boulangera w kilkudziesięciu departamentach Francji, coby było niejako pierwszym szczeblem do osiągnięcia dyktatury, udało się gabinetowi Tirarda przeprowadzić. Nie tu jednak rozgrywa się decydująca walka, mająca rozstrzygnąć o dalszym bycie rzeczypospolitej.

Ostatnią stawką gabinetu jest wniesienie oskarżenia przeciw Boulangerowi, i to takiego ciężkiego oskarżenia, aby się republikanom udało przekonać Francuzów, że ich akt jest oparty na rzeczywistych podstawach, że Boulanger dopuścił się rzeczywiście tych wszystkich czynów, które mu w akcie oskarżenia zarzucają, w takim razie Boulanger i jego stronnicy będą zgubieni i z pewnością każdy uczciwy człowiek od nich się odwróci, a bulanżyzm cały, który tyle wrzawy w ostatnich czasach narobił, będzie przedmiotem pośmiewiska i pogardy; jeżeli jednak okaże się, że akt ten jest zmyślonym albo naciągniętym, że czynów mu zarzuconych Boulanger się nie dopuścił, albo je fałszywie przedstawiono, jednem słowem, że to tylko nienawiść stronnicza republikańskiemu ministerjum akt ten podyktowała, wtedy bulanżyzm otoczy się w oczach całego kraju aureolą i stanie się jeszcze więcej popularnym, a to oznacza tyle, co upadek rzeczypospolitej.

Jakież to są czyny, o które rząd obwinia jenerała Boulangera? Akt oskarżenia obwinia go o dwojakie przestępstwa, jedno politycznej natury, drugie zwykłej. Zbrodni politycznych dopuścić się miał przez projektowanie zamachu stanu, pochodu na pałac elizejski, przygotowanie rewolty wojskowej i t. d., jednem słowem, że chciał obalić istniejący rząd. Tego mu stronnicy jego za złe z pewnością nie wezmą, gdyż i oni sami do tego dążą i zasądzenie go za te czyny więcej mu korzyści z pewnością przyniesie, aniżeli uwolnienie. Akt oskarżenia jednak obwinia Boulangera także o to, że z funduszów rządowych sprzeniewierzył kwotę ćwierć miljona franków i użył jej na cele osobiste, jak: utrzymanie kilku dzienników paryskich na swym żołdzie i rozpowszechnianie po kraju w setkach tysięcy egzemplarzy portretu swego z tendencyjnymi dodatkami i dopiskami przedstawiającymi go jako protektora Francji i zbawcę ojczyzny.

Gdyby ten punkt oskarżenia okazał się prawdziwym, w takim razie pokazałby się Boulanger jako człowiek pogardy godzien, który dla własnych ambitnych zamiarów nie wahał się nawet targnąć na cudzą własność i każdy z pewnością odwróciłby się od niego. Nie wahał by się przy tem, jak człowiek pogardy godzien, którym są Laguerre, Naquet i inni, a to samo zmienne pospólstwo francuskie, dla którego dziś Boulanger jest bohaterem, drugim Bonapartem, nie szczędziłoby mu wtedy szyderczych epitetów „złodzieja". We Francji w jednym dniu stać się można z bożyszcza wyrzutkiem.

Gabinet Tirarda pojął, jak się zdaje, całą doniosłość tego oskarżenia, dla tego postanowił ogłosić drukiem wszystkie akta śledcze w sprawie Boulangera. Przez to będzie mógł cały naród sądzić tego, który dla wielu był wybrańcem, powołanym do ratowania ojczyzny.

Od siły przekonywającej tych aktów zależy zatem, jaki sąd wyrobi sobie kraj o Boulangerze i jaki wyraz da temu sądowi przy nadchodzących wyborach.

Jeżeli stanie po stronie rządu i potępi Boulangera, w takim razie byt rzeczypospolitej jest na długo zapewniony, jeżeli zaś nie, wówczas nie tylko gabinet Tirarda, ale prawdopodobnie i cała rzeczpospolita runie, a jej miejsce zajmie dyktatura Boulangera, albo monarchja.

Naprężenie stosunków między Niemcami a Rosją raczej się wzmaga, aniżeli zmniejsza. Przyczyniły się do tego ostatnie enuncjacje „*Norddeutscherki*", mające na celu odstraszyć kapitalistów niemieckich od zakupywania walorów rosyjskich.

Zwiększyły one rozdrażnienie Rosji i utwierdziły ją w przekonaniu, jakie zawsze żywiła, że książę Bismark jest dla niej wrogo usposobionym.

Nowoje Wremia utrzymuje, że ta walka finansowa jest to ostatni wysiłek ks. Bismarka, który pragnie zmusić Rosję do poddania się jego woli, i stłumienia jej zamiarów. Takie twierdzenie podniecają i żywią panslawistyczne illuzje „narodowców" rosyjskich, którzy pragną, aby Rosja całkiem odosobniła się od cywilizowanej Europy.

Nowoje Wremia nie przestaje też zachęcać do kroczenia dalej tą drogą i nic sobie nie robi ani z nieudania się konwersji, ani ze szkód materjalnych, jakie ten system zamknięcia się Rosji przynieść musi. Na to wszystko znajdzie ona zawsze jakąś pociechę, nieraz prawdziwie dziecinną.

I tak, mówiąc o nieudaniu się konwersji, podnosi, że ważne polityczne fakta wskazują na to, iż trójprzymierze wkrótce rozbić się musi, albowiem węgierscy patrjoci odbywają podróż do Paryża, a Włochy zaczynają sympatyzować z Francją.

Trzeba zaiste naiwności sporo, żeby podróż Węgrów na wystawę podnosić do znaczenia politycznego.

Z paryskiej wystawy.

XVI

Paryż w lipcu.

(*K. W.*) Opisując w paru listach poprzednich szczegóły wystawy, zaniedbałem opisów życia, jakie tu pulsuje z potęgowanem, niemal szalonem tętnem, a życie to bodaj czy nie ciekawsze jak sama wystawa.

Tyle pola do obserwacji!... Zaniedbanie to pragnę dzisiaj wynagrodzić.

Od miesiąca ma wielki bulwar światło elektryczne. Szalony, hałaśliwy i barwny ruch wrący na nim codziennie do godziny trzeciej po północy, nabiera przy jasnem, białem świetle elektrycznych lamp łukowych jeszcze więcej plastyki. Poruszające się masy przechodniów na trotoarach, cwałujące środkiem drogi rozmaite wehikuły, goście siedzący na werandach kawiarni bulwarowych — wogóle całe ruchliwe, gwarliwe i wielce charakterystyczne nocne życie na ulicach, staje się przy oświetleniu *al giorno* jeszcze ciekawszem, bardziej malowniczem i barwnem, aniżeli w półcieniu dotychczasowych płomieni gazowych.

Białe, intenzywne światło podnosi jak na scenie efekt życia paryskiego na zewnątrz i wszystko też jest w stanie jeszcze bardziej olśniewająco i zdumiewająco działać na zmysły obcych gości, których liczba z dnia na dzień widocznie rośnie.

Na bulwarach istny jarmark, pełen krzyku i nawoływania całej armji wędrujących przekupniów, uwijających się w rozmaitych kierunkach i zachwalających w superlatywach roznoszony towar. Wszystkiego też dostać można na ulicy, byle tylko kieszeń pełna.

Ze zwiększającym się ruchem na wystawie, wzrasta też ruch pieniędzy. Franki srebrne i złote wyślizgują się prawie niepostrzeżenie z ręki, na każdym kroku trzeba teraz ich więcej, jak gdyby w przeciągu ostatnich dwóch tygodni straciły na wartości. Przyznać trzeba, że Francuzi umieją korzystać z każdej sposobności, ale naturalnie zawsze z elegancją. Ciągle brzmi w uszach pełne gracji paryskie „*merci*" słyszane każdorazowo przy odbiorze pieniędzy, chociażby tylko kilku centymów. Usłyszeć „*merci*" z ust zgrabnej i pełnej elegancji Paryżanki, „*merci*", wymowione z właściwym im wdziękiem, z „r" rozpływającem się wdzięcznie w gardziołku i wypływającem usteczkami koralowemi, za to niektórzy dają bardzo wiele.

Zresztą zachowują się Paryżanie wobec obcych dość zimno. Bulwarowe pisma popisują się nawet codziennie rozmaitemi dowcipami na koszt gości. W wysokiem poczuciu swej godności i doskonałości cywilizacyjnej patrzy Paryż z góry na cudzoziemców. Ma taką minę, jak gdyby robił im łaskę, wypróżniając im kieszenie. Gościnności dla obcych mało, bardzo mało. Jest wszędzie grzeczność i uprzejmość, wrodzona zresztą Francuzom, ale tylko powierzchowna, konwencjonalna, zimna.

Wszystko goni tu tylko za groszem, z gorączkowym zapałem, z trawiącą niecierpliwością, jakby na wyścigi. Prawda, że życie w nowym Babilonie ma twarde warunki, że tu czas bardziej płaci, aniżeli gdzieindziej, mimo to przebija w tej „gonitwie", pewne rozdrażnienie nerwowe i może wygórowana żądza życia, która cechuje się na zewnątrz chciwością jak najprędszego i największego przysporzenia środków dla zaspokojenia wymagań. Z pewnością też żyje w Paryżu każdy stan stosunkowo lepiej, aniżeli gdzieindziej, Wykwintność życia codziennego stała się w Paryżu koniecznością społeczną.

Wytworny przepych, jaki bogatsze warstwy rozwijają we Francji w ogóle, jest olbrzymim, zadziwiającym.

Genjalnie odtwarza go Alfons Daudet w „Nabobie" a uwidoczniają witryny sklepów w Paryżu na każdym kroku dla każdego oka, gdzie widzimy damskie negliżyki z prawdziwych koronek po 120.000 franków, albo jesienne płaszczyki Cavayrac'a, kosztujące 30.000 franków, lub też podwiązki domu Tiffany po 1.000 franków. Na wystawie jest kolja z szafirów za 50.000 franków, zegar bronzowy na postumencie, kosztujący 350.000 franków.

Można sobie w wyobraźni uzupełnić inne życiowe wymagania ludzi, którzy kupują takie przedmioty, jak oni mieszkają, jak jedzą, jak jeżdżą i t. p. Jest to szczyt zbytku i przepychu, niedoścignionego nawet przez niektóre dwory panujących, a na który stać miljonerów francuskich lub nabobów albiońskich i amerykańskich.

Stan średni żyje stosunkowo także wytwornie, a bez przesady twierdzić możemy, że we Francji żyje większość klasy pracującej lepiej, aniżeli stan średni w wielu innych krajach Europy. Pod tym względem trzeba widzieć, co zjada w Paryżu przeciętny robotnik. Spożywa on dziennie dwa obiady — *déjeuner* i *diner* — o kilku potrawach, każdorazowo z deserem, butelką wina, kawą czarną z *cognac'em*. Norma pożywienia lepszego robotnika ustanowioną jest na 4 franki dziennie. Smakoszostwo przeszło we Francji z góry w najniższe warstwy ludowe. Robotnik potrzebujący cztery franki dziennie tylko na swoje jedzenie, musi mieć znaczny zarobek, ażeby mógł proporcjonalnie zaspokoić inne potrzeby życia i złożyć pewne oszczędności. Jeśli ma rodzinę, potrzeby te są jeszcze nierównie większe. W ogóle daje we Francji praca dobry zarobek, ale znowu nie tak wielki, aby przy smakoszostwie mógł każdy pracujący utrzymać równowagę w swoim bilansie. Dzieje się przeto najczęściej tak, że pracujący żywiciel rodziny sam przejada większą część swego zarobku. Ztąd panuje ubóstwo w większej części rodzin robotniczych, zaniedbanie wychowania dzieci a nawet wkrada się do tych rodzin zepsucie obyczajów i rozpusta. Drugim widocznym objawem gurmanderji robotniczej jest uderzające zaniedbanie w ubiorze pracujących. Robotnika francuzkiego widzi się najczęściej, nawet i w niedzielę, tylko w bluzie. On na suknie wydawać nie może, bo największą część zarobku zostawia w „*bouillon'ach*" lub w „*marchands de vins et liqueurs*".

W zgiełku i ścisku panującym w większej części lokalów publicznych mało kto może dostać żądany dziennik do rąk. Na „Botina" — paryzką księgę adresową — trzeba nieraz czekać pół godziny w kawiarni. Zresztą w Paryżu istnieje zwyczaj, że każdy kupuje sobie dziennik na ulicy i czyta go w omnibusie, na tramwaju, na statku, we fiakrze lub przy jedzeniu. W ogóle konsumcja dzienników w Paryżu jest olbrzymią.

Obecnie wychodzi w Paryżu 97 pism codziennych. Dzienniki są w ogóle tanie. Tak zwane „mniejsze" kosztują 5, wielkie 10 centymów od numeru, a droższych jest zaledwie kilka. Większość dzienników zajmuje się tylko Paryżem i Francją, nie troszcząc się o resztę świata. Prasa paryzka stosunkowo bardzo mało poświęca swej uwagi zagranicy. Nawet wielkie dzienniki daleko mniej posiadają informacji i sprawozdań zagranicznych, aniżeli gazety angielskie, a nawet wiedeńskie. Dzienniki paryzkie, prawie wszystkie, świetnie są pisane co do stylu. Lekkość pióra, dowcip i *l'esprit* francuzki widoczne są wszędzie. Szczególnie wysoko stoi fejleton w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Fejleton znaczy w prasie tyle, co deser przy śniadaniu i obiedzie. Bez jednego i drugiego Francuz obejść się nie może. Odcinki powieściowe posiada każdy dziennik, a jest bardzo dużo nawet dzienników, które równocześnie drukują po dwa, trzy a nawet cztery romanse. Można sobie wyobrazić, jak wielką jest konsumcja powieści w prasie paryzkiej przy niemal stu pismach codziennych. Publiczność paryzka czyta romanse bardzo chciwie. W Paryżu reklamują się dzienniki co chwila romansami nowemi. Zwykle rozdają na ulicy kolporterowie gratis początek romansu przechodniom. Jest co czytać. Duży półarkusz formatu dziennika z tytułem romansu dużemi czerwonemi literami wydrukowanym na czele, pod czem znajduje się sensacyjna rycina, przedstawiająca jedną z okropnych scen powieści, a potem następują trzy kolumny *petitu* z końcem: „*Lire demain la suite dans le journal X. Y.*"

Kolporterja dzienników jest w Paryżu nadzwyczaj ruchliwa i krzykliwa. Najpoczytniejsze dzienniki w Paryżu są: *Le Petit Journal*, *Figaro*, *Gil Blas*, *L'Intransigeant* (Rocheforta), *Le Petit Parisien*, *Le Soir*, *La Bataille* (Lissagaraya), *La France*, *L'Autorité* (Cassagnaca), *Le Radical*, *Le Temps*, *Mot d'Ordre*, *La Lanterne* i *La Cocarde* (bulanżystowska). Przedmieścia, szczególnie dalsze robotnicze dzielnice, mają swoje dzienniki, których na bulwarach prawie nie widać. Statystyka oblicza dzienną konsumcję dzienników w Paryżu na trzy miljony. Jest to nadzwyczaj wysoka liczba, skoro na głowę ludności przypada więcej jak jeden egzemplarz.

Redakcje *Figara* i *Petit Journal* mają własne wspaniałe pałace. Szczególnie pierwszy na ulicy Drouot zwraca swoją fantastyczną fasadą, a wieczorem silnem elektrycznem oświetleniem frontu powszechną uwagę. Pałac nie duży, ale zewnątrz i wewnątrz pełen krzyczącej kokieterji. Na dole mieszczą się biura inseratowe i kasy administracji, obok znajduje się rodzaj bazarowej wystawy, unicum swojego rodzaju. Czego tu nie ma? Jest naprzód murzyn, który przechodniom rozdaje reklamy rozmaitych firm, drukowane na kartkach; jest mechaniczna waga, która za wrzuceniem 10 centymów w otwór *ad hoc* wyrzuca ze swego wnętrza mały fotograficzny wizerunek *d'une célébrite* i zarazem wybija na odwrotnej stronie kartonu w kilach wagę osoby ważącej się; opodal stoi mechaniczny przyrząd do próbowania siły, ale także trzeba wprzódy wrzucić w paszczę maszyny 10 centymów; w innym kącie wyrzuca maszyna cukierki za opłatą 4 sous. Na ścianach pełno kolorowych afiszów, polecających rozmaite hotele w Paryżu i po za jego obrębem, i najoryginalniejszych ogłoszeń. Na innej ścianie tego bazaru reklam widzimy fotograficzne widoki pięknych okolic, dalej ponalepiane pisma ilustrowane wszystkich krajów, w innej stronie fotografje korespondentów paryskich pism zagranicznych. Jest przeszło czterdzieści fotografij ustawionych w czterech rzędach, jeden przy drugim, a osobno stoi tylko wizerunek p. de Blowitz, znanego korespondenta *Timesa*. Na pierwszem piętrze jest wykwintny salon recepcyjny, resztę lokalności zajmuje redakcja. W karnawale odbywają się tu wieczory tańcujące. W bazarze reklam roi się publiczność, przed pałacem zaś redakcyjnym stoją prawie zawsze ekwipaże, w których można często widzieć czekające damy.

Życie społeczne Francji, a tem bardziej jeszcze „la vie parisienne" jest osobliwością swojego rodzaju, pełne rysów charakterystycznych, pełne hałaśliwego, ruchliwego tętna, dodajmy, pełne układności towarzyskiej, elegancji — gadulstwa, zapału, zmienności i przedewszystkiem gurmanderji. Są to jednak tylko więcej jego zewnętrzne objawy. Spodem, prawie niespostrzegalnie dla powierzchownie patrzącego oka, opiera się ono o szerokie, granitowe podstawy skrzętnej, niestrudzonej, inteligentnej pracy, której świetne rezultaty podziwia dziś świat cały na wystawie i która też jest źródłem wielkiego bogactwa, w jakie Francja opływa. Widząc bawiący się co nocy Paryż do godziny 2 lub 3 po północy, mimowoli nasuwa się pytanie: kiedy wstają ci ludzie? kiedy oni pracują? Z brzaskiem atoli świtu rannego zaczyna się roić olbrzymie nadsekwańskie mrowisko. Każdy wstaje w czas na stanowisku, nie ma opóźnienia, wszystko idzie trybem normalnym, nikt nie zaśpi i nikt też nie ponosi straty materjalnej z powodu nocnego biwakowania. A przecież ludzie, szczególnie ludzie pracy muszą się wyspać, wywczasować. Kiedyż więc śpią przy tem nocnem życiu na bulwarach? Jest to ich sekret, który atoli nie trudno podchwycić, przypatrując się tutejszemu sposobowi i trybowi życia nieco uważniej. W regule śpią

118

W walce z losem.

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH.

Przez

Jerzego Myziela.

(Ciąg dalszy.)

— W takim razie weź powóz, albo pieszo pójdź daleko, jak możesz najdalej, uspokój się trochę, do równowagi przyjdź.

— To niepodobna, ja muszę być przy niej.

— Rozum miej, panie Skalski, nie jesteś młodzik. Do Izy nikt wchodzić nie może, rozumiesz pan nikt. Gdyby cię zobaczyła... Pamiętaj co ci powiadam, najmniejsze wzruszenie zabić ją może od razu.

— Więc nie wejdę tam, ale ratować ją będę. Daj mi pan adresa lekarzy, których na konsyljum mam wezwać.

— Tem pana trudzić nie będę, zaproszę ich sam. Na moje wezwanie przyjdą prędzej, aniżeli na pańskie.

— A cóż ja?

— Pan idź do mieszkania Izy. Słyszałeś że tam brak, pieniędzy daj tej kobiecie, którą do pilnowania chorej przysłałem. Ona dopatrzy wszystkiego.

— Dobrze — ale panie doktorze, wszakże ja będę mógł być obecnym podczas konsyljum?

— Dla czego nie? Ja tylko zabraniam panu wchodzić do chorej.

— A gdy przytomność odzyska?

— Gdy przytomność odzyska — będziesz mógł z nią rozmawiać ile zechcesz; gdy zdrowie odzyska, ożenisz się z nią — o co chodzi?

— Doktorze, powiedz mi szczerze: co uważasz za przyczynę tej nagłej choroby?

— Hm... o ile wyrozumieć mogłem z opowiadania służącej — to zaziębienie. Przedstawienia poniosły jej fantazja przejść się pieszo po mieście. Tego wieczora było bardzo zimno, wiatr straszny — ona w bardzo lekkim faterku, zaledwie narzuconem na ramiona, poszła, i, jak służąca opowiada, chodziła przynajmniej dobrą godzinę.

— Sama jedna?

— A naturalnie! Aktorki miewają swoje kaprysy. Służąca podobno zwracała jej uwagę, ale panna Iza nie chciała słuchać.

— I czy tylko to uważasz pan za powód choroby?

— Jakto?

— Nie przypuszczasz pan, że istotną przyczyną mogły być przejścia moralnej natury?

— Przypuszczać wszystko można, ale do poważnych wniosków nie mam dostatecznego materjału. Coś mi tam służąca mówiła, że pani od kilku dni była nie swoja, że płakała, martwiła się — ale powtarzam, że te wskazówki były dla mnie za skąpe i na ich podstawie żadnych przypuszczeń nie mogłem budować i nie mogę.

— A ja jestem prawie pewny, że przyczyna jej choroby, to jakieś ciężkie zmartwienie.

— Czy pan co wiesz?

— Nie doktorze — nic nie wiem, to tylko moje osobiste przypuszczenie?

— Na tem niewiele można zbudować... ale, drogi panie, nie traćmy czasu. Idź pan tam, uporządkuj owe nieszczęsne rachunki — a ja poproszę kolegów. Chciałbym za parę godzin zwołać konsyljum, bo tu zwłóczyć nie można — nie, nie można ani chwili.

— Dobrze doktorze, biegnę więc.

— Czekaj pan, jeszcze jedno słowo.

— Słucham.

— A pamiętasz pan com ci powiedział? Widzieć jej pod żadnym pozorem nie możesz, ani pan, ani jej brat, ani nikt na świecie, prócz kobiety dozorującej i lekarzy. Chciej pan to uwzględnić, bardzo proszę.

— Progu nie przestąpię.

— Tak, tak, drogi panie, bądź mężczyzną i nie trać nadziei. Nie z takich niebezpieczeństw ludzie wychodzą.

— Serdeczne dzięki, doktorze, za słowo otuchy i nadziei. Uratuj ją, uratuj! a przez całe życie wdzięczny ci będę.

— Bądź pan dobrej myśli i idź tam, gdzie obecność twoja jest teraz potrzebna.

— A kiedyż konsyljum?

— Za dwie, trzy godziny. W tej chwili sam jeszcze nie wiem — ale zaraz pojadę, osobiście poproszę kolegów.

Skalski uścisnął rękę doktora i wybiegł.

Po chwili wchodził do mieszkania Izy, po cichu, na palcach, starając się robić jak najmniej hałasu.

W progu spotkała go Rózia.

— Dobrze że pan hrabia przyszedł — rzekła — bo ta pani, co ma niby chorej pilnować, powiedziała że odejdzie.

— Masz — rzekł, dobywając pieniądze z pugilaresu i dając je dziewczynie — masz, zapłać, przepłać, daj bez rachunku, byle tylko nie odstępowała chorej ani na chwilę.

— Taka nieprzyjemna jejmość — rzekła Rózia.

— A to wszystko jedno, doktor powiada że jest sumienna przy chorych, to mi wystarcza — ale jakże Róziu nasza pani? Byłaś tam?

— Byłam przed chwilą.

— Nic nie lepiej?

— Jednakowo, proszę pana hrabiego, leży nieprzytomna, jak martwa, ani nawet okiem nie mrugnie.

— Boże! Boże! powiedz, zmieniła się bardzo?

— E nie, tylko pobladła pani, wyschła, cień z niej został.

— Słuchaj-no Róziu — rzekł — ja na chwilę do domu pójdę, a tu mają doktorzy niezadługo nadejść — gdy przyjdą, poślij do mnie natychmiast posłańca.

— Poślę proszę pana.

— I pani pilnuj... pilnuj jak oka w głowie. Prezentami cię za to obsypię, wynagrodzę stokrotnie.

— O! proszę, pana hrabiego, bez prezentów i nagród zrobię wszystko co do mnie należy. Pół życia oddałabym za to żeby tę naszą kochaną panią uratować.

— Dobra jesteś dziewczyna... będę ci to pamiętał — jak doktorzy przyjdą...

— Będzie pan hrabia wiedział o tem natychmiast.

Skalski wyszedł. Zdawało mu się że na głowie dźwiga całą górę, krew uderzała mu w skroniach jak młotem.

Zataczał się.

Nie dziw, wielka boleść spadła na niego jak grom i w jednej chwili niweczyła najpiękniejsze nadzieje.

Przyszedł do swego mieszkania, usiadł na fotelu, zamyślił się. Smutne, ponure obrazy przesuwały się przed jego oczami. Opanowywała go dziwna jakaś bezwładność. Wpół czuwał, wpół drzemał, ale stan ten ani czuwaniem, ani snem nie był. Myśl jego nie spoczywała, zwracała się do jednego przedmiotu, a ten przedmiot niby łudzący obraz na pustyni, to zbliżał się do niego, to oddalał, budząc w sercu to radość, to znowuż niepokój i trwogę.

Zdawało mu się że widzi Izę zdrową, uśmiechniętą, wesołą, piękną jak marzenie — zdawało mu się, że widzi ją w stroju ślubnym, że wraz z nią przy poważnych dźwiękach organu przesuwa się po marmurowej posadzce starej gotyckiej katedry.

Lekkie filary dźwigają na sobie ostrołukowe sklepienia, przez różnokolorowe szyby wpada światło słoneczne i tęczowemi barwy rozkłada się po posadzce, po ścianach.

Skalski czuje że mu zupełnie dobrze. Zapomniał o latach swoich, ułomności, o włosach siwych — czuje się rzeźwym, silnym, jak gdyby cudem dziwnym o jakie dwadzieścia lat odmłodniał.

Obok niego Iza, piękna, promieniejąca szczęściem.

Za chwilę nazwie ją swoją, swoją na zawsze, zabierze ze zgiełkliwego miasta, wydrze ją teatrowi, publiczności, wywiezie daleko, między pola szerokie, lasy szumiące i żyć będzie szczęśliwy.

Ale cóż to?!

Izy nie ma! W jednej chwili zniknęła, rozprysnęła się, rozwiała w powietrzu jak mgła, jak obłok zdmuchnięty przez wiatr.

Nie ma jej!

Czy pochłonęła ją przepaść niewidzialna, czy porwał jaki zły genjusz? Nie ma jej — a skoro jej nie ma, nie ma ani życia, ani światła.

(C. d. n.)

Paryżanie krócej, aniżeli gdzieindziej. Pięć, sześć godzin snu wystarczą dla wielu. Powtóre nie cała ludność Paryża jest do godziny 2 lub 3 po północy jeszcze na nogach. Jedna część śpi, druga się bawi, tak samo jedna i to większa część zaczyna już ze świtem pracować, podczas kiedy „nocne ptaki“ spoczywają jeszcze słodko w objęciach Morfeusza. Jest komu bawić się, jest komu pracować. Kontrasty rosną bujnie na mrowiskach miljonowych, a stykając się z sobą, jak twierdzi przysłowie francuskie, tworzą razem całość składającą się właśnie na tę rozmaitość i różnorodność, która charakterystycznie cechuje życie stolicy francuskiej.

Krokiet w Londynie.

Londyn w lipcu.

Tym razem korespondencję moję zapełnię przeważnie krokietem. Jest to gra, którą Anglja, specjalnie zaś wielkie jej miasta kultywują z prawdziwą zapamiętałością, a w braku lepszego zajęcia w tej porze, kiedy nic się innego nie dzieje, dobrze i temu kultowi parę chwil poświęcić.

Jeśli kto oszołomiony formalnie wrzawą uliczną, mgłą oślepiony, zapragnie uciec, schronić się, oprzytomnieć trochę i w tym celu wpadnie w jaką mniej gwarną uliczkę, gdzie nie ma niebezpieczeństwa, że w szalonym pędzie biegnący wóz, przejedzie go na śmierć na miejscu, to z pewnością spotka się z partją chłopaków grających w krokieta. Na szerokiej szosie w Towrze widzieć można kilka a nawet kilkanaście partyj jedna za drugą; każda z nich ściśle przestrzega swych granic i nie wkracza w zakres drugiej. Właściwie widok chłopaków ulicznych grających w krokieta nie jest niczem szczególnem; dziwniejszem to może, iż wszyscy bez wyjątku jednę grę uprawiają. Daremnie szukalibyśmy tutaj tak powszechnego u nas w Polsce „orła“, który jakoby symbolizuje wyższe aspiracji młodzieży, owe rwanie się „nad poziomy“; ani w żołnierzy, ani w zbójców chłopaki tu się nie bawią. Tu wszyscy grają w krokieta, czyli po naszemu w piłkę, tylko, że w sposób nieco od naszego odmienny. Jak wiadomo u nas wystarczy do gry w piłkę dwóch, tutaj potrzeba do tej szlachetnej muskuły, bystrość oka i zręczność wyrabiającej gry trzech rzeczy: piłki, kija czyli, jak pamiętam z czasów szkolnych tak zwanej „palestry“ i co najmniej dwunastu współgrających. Jeden podrzuca piłkę, drugi tak zwany „*batsman*“ podbija ją kijem (czyli jak u nas mówią „wali kampę“) a reszta stara się złapać piłkę, zanim batsman ze swego stanowiska dobiegnie do tego, który piłkę rzuca i z powrotem znowu na swojem stanowisku stanie. Jeżeli batsman chybi i nie podbije piłki albo też na czas nie wróci na swoje miejsce, wtedy staje się „out“ i inny zajmuje jego miejsce.

Żadna to gra, ale znowu nic tak szczególnego, tem bardziej więc obcego zadziwić musi okoliczność, że dokoła każdej takiej partji grających tworzy się koło widzów dojrzałych, którzy z zapartem oddechem śledzą przebiegu gry. Zadziwia to w tym wiecznie śpieszącym się Londynie, hasłem życia jest *times is monney*, gdzie ludzie w pośpiechu tratują się na ulicach, gdzie nikt nigdy nie ma czasu, i nie stanąłby za nic w świecie na miejscu jakiegoś wypadku, bo on opis jego przeczyta sobie jak najwygodniej w wolnej chwili wieczorem w gazecie i jest tak zadowolniony, jak gdyby był na miejscu.

Tymczasem jednego pięknego dnia portjer hotelu, w którym stoimy powiada nam, przybrawszy minę arcyinteresującą: „Dzisiaj w „Lord's Ground“ Eton i Harrow grają w krokieta..

— I cóż stąd?

— A, tego widowiska opuścić przecież nie można, ktożby nie chciał widzieć Etona i Harrowa? Portjer mówi tak przekonywająco, że prawie mimowoli wsiadamy do powozu. Woźnica zwraca się w zachodnią stronę miasta. Jedziemy tak długo, że zdaje się, iż w krótce miasto już się skończy, ale gdzietam! Dojeżdżamy do szerokiej ulicy, do której z wszystkich stron wpływają masy powozów i pieszych, a ze stacji kolei podziemnej wychodzą coraz to nowe zastępy ludzi. Wszystko ubrane w stroje świąteczne, wszystko śpieszy do „Lord's Cricket Ground“ I my przybywamy tam niebawem. Wchodząc spostrzegamy niezpoliczone tłumy widzów, na trybunach i balkonach, na pokryciach powozów, siedzących i spacerujących po placu. *Times* oceniał w tym dniu liczbę widzów na 10,000 głów, inne dzienniki, bardziej hojne, wyśrubowały do 20 000. W każdym razie opłata wstępu wyniosła poważną liczbę funtów. Lord's Ground należy do t. zw. Marylebone-Cricket Club, który plac ten zakupił za bajeczną cenę i ładne teraz pobiera procenta od ceny kupna. W Londynie jest jeszcze parę takich placów do gry w krokieta, na których grają czyli walczą: „Anglja z Australją,“ „Sussex z Yorkshirem,“ „Gentlemeni z graczami zawodowymi“ itd. Gdyż gra ta stała się nawet rodzajem profesji i niektórzy z niej żyją. Cóż jednak spostrzegamy na „Lord's-Ground“? Prawie to samo co patrząc na grę chłopaków ulicznych, tylko w innej podanej formie. Tu występują gracze w eleganckich kostjumach, prawie wszyscy w śnieżno białych pantalonach flanelowych. Jest ich trzynastu. Jedenastu z nich ma ciemno-błękitną przepaskę w pasie, są to ci, którzy rzucają piłkę po kole, a zowią się „stojącymi w polu;“ dwóch ma jasno błękitną przepaskę i podbijacz w ręku, to znowu ci, którzy prym wiodą i właściwie partję rozgrywają, wreszcie są jeszcze dwaj poważni gentlemenowie w długich białych płaszczach, którzy czuwają nad grą i zapisują każdy rzut. Lecz patrzmy: Oto piłka leci — nagle zrywa się burza oklasków, okrzyki, stukanie laskami i t. d. Pokazuje się, że rycerze „w polu“ nie złapali piłki, która potoczyła się aż pod trybuny. Cóż dziwnego, myślisz sobie, to przecież nie może być powodem tak wielkiej uciechy tłumu: być może więc, iż jakaś popularna osobistość wszła do koła widzów i w ten sposób powitaną została? Zwracasz się więc do sąsiada, ażeby cię objaśnił. Oblicze jego jaśnieje wyrazem niezwykłego rozradowania duszy; podnosi cztery grube palce w górę i mówi: „cztery punkta, to się liczy za cztery punkta.“

— Ach tak!? odpowiadasz niby zdziwiony, sądziłem że tylko trzy. Mówisz tak, bo oczywiście wstydzisz się przyznać do nieświadomości w rzeczy, która dla wszystkich tutaj jasną jest jak słońce.

Potem trochę zdetonowany, powiadasz sobie, że do gry w krokieta, tak jak tu grają i obliczają, potrzeba mieć specjalne zamiłowanie, narodowe, i wychodzisz poza tłum, poza trybuny i powozy, gdzie dokoła szeroką drogą spacerują znowu tłum ludzi, tłum eleganckich, który albo już znużył się widokiem gry, albo przyszedł tu w innych celach aniżeli w celu podziwiania Etona contra Harrowowi! Jest to coś nakształt foyer w teatrze. Wysmukłe damy z arystokracji, po największej części zupełnie w bieli, z parasolkami, które długością swoją przypominają kije alpejskie i z dandysami u boku, godnymi rysownika. Ernikshank powinien rzeczywiście w grobie żałować, że już nie może odrysować dandysa z r. 1889 w jego długim po kolana surducie i bufiastym krawacie, który przypomina wspaniały węgiel Michała Anioła. Spacerują więc tutaj modne pary: ona całkiem biała, on od stóp do głowy czarny. Albo też siedzą na dachu olbrzymiego wozu t. zw. *Mail Coach* ona w pozie na pół leżącej, on balansując na poręczy i oddają się tak niewinnej flirtacji. Na tych wozach jednak nie tylko flirtuje się, ale je się, pije, pali, przyjmuje wizyty, zawiązuje nowe znajomości, słowem jest się jak u siebie w domu. W olbrzymich tych wozach, są jak w angielskich „*home*“ pokoje mieszkalne, kuchnie, izby dla służby i t. d. Wszystkiego tego potrzeba, bo Eton contra Harrow rozpoczynają grę o 11 przed południem a kończą dopiero po północy. Pod wozami tedy kucharze i lokaje przygotowują objady, odkorkowują szampany, gotują kawę, herbatę, poncz, co potrzeba.

Od czasu do czasu następuje przerwa w grze, wtedy publiczność opuszcza swe miejsca i wysypuje się na arenę, tworzą się pary i następuje ogólny taniec. Ale niebawem znowu dają dzwonkami znak do podjęcia walki na nowo. Publiczność wraca co rychlej na swoje miejsca i z największem natężeniem śledzi dalszego przebiegu gry, która nareszcie około północy kończy się zwycięstwem — oczywiście Harrowa albo Etona.

Należy dodać, że specjalnie na miejscu urządzona drukarnia, co parę minut wydaje biuletyny o tem, jak partja stoi. Biuletyny te są zadrukowane jakiemiś hieroglifami, które tylko specjaliści zrozumieć mogą. Nareszcie o północy wszystko, jakby na dany znak zrywa się i z pośpiechem dąży do swoich powozów, omnibusów, do dwukołowych „hansom“ i rozmaitych innych wehikułów. Ja miałem miejsce „imperialne“ na szczycie omnibusu, czyli na Impérialu, zkąd pyszny widok na cały różnobarwny chaos powozów i ludu spieszących z powrotem do miasta. Po drodze zaglądać można w okna pierwszego piętra i życzyć dobrego apetytu rodzinom zgromadzonym u stołu przy wieczornym posiłku. Nie długo jednak nasycać się można tym widokiem. Niebawem kończy się bowiem ulica, wiodąca do „Lords Ground“ i wjeżdżamy do Londynu, to jest w kraj mgły, dymu, wrzawy, który nie tylko obcego ale i rodowitego Anglika do rozpaczy doprowadzić może, z którego uciekają wszyscy niezwiązani interesem z ogromnem miastem interesów.

Mały Fejleton.

Scheveningen.

Nad morzem, gdzie ostatnia fala oceanu całuje stopy stałego lądu, gdzie wzrok, swobodnie w niezmierzone puszczony dale, żadnej nie znajduje przeszkody aż na krawędzi olbrzymiego sklepienia niebios, tu także według słów niemieckiego poety, mieszka wolność i swoboda. Ani dym parostatku, ani kominowe swędy fabryczne nie mącą czystego eteru, pijemy najczystsze powietrze ogromnej przestrzeni. To, co modni turyści i alpejscy z największym zdobywają trudem, osiągamy nad morzem z największą łatwością. Jadąc na wybrzeża Bałtyku poświęcamy się wprawdzie a to na pewne niewygody, gdyż wiadomo, że wszystkie stacje kąpielowe nad morzem Północnem odznaczają się brakiem większego komfortu, brakiem dającym się uczuwać szczególnie na punkcie nie dość obfitego *menu*, do którego zwłaszcza my Polacy jesteśmy przyzwyczajeni, oraz z powodu dość mizernej konstrukcji łóżek, które znowu, mimo bliskości edredonów w tych okolicach, puchem ich wcale wysłane nie bywają. Brak tutaj także tego międzynarodowego kolorytu towarzystwa, mającego dla nas także szczególny powab, a przeciwnie prawie wyłącznie północno-niemiecka, mocno junkrowata fizjonomja całego grona kąpielowców może nie jednemu dawać jak najmniej powodów do zachwytu. Nie masz tu tego, co nas tak przyjemnie uderza n. p. w Ostendzie, gdzie wytworny akcent francuski, przyjemnie pieści ucho, a zwodniczy szyk płci niewieściej olśniewa zmysł zwroku. Mamy tu natomiast spokój, tak do kuracji potrzebny, którego w Ostendzie w ciągłym gwarze ani na chwilę zaznać niepodobna; nie irytuje nas tu bezczelność francuskich kelnerów, ani rozczarowanie do owego szykownego ale nie zawsze wyszukanego towarzystwa.

Miejscowością, która łączy w sobie zalety spokojnych kąpieli nadbrzeżnych nadbałtyckich z pewną rozmaitością międzynarodowego kolorytu wielkich światowych stacyj klimatycznych jest Scheveningen nad morzem północnem, największe kąpiele morskie Hollandji, nadmorskie przedmieście Haagi, rezydencji królewskiej, połączone bezpośrednią komunikacją tak ze stolicą jak i innemi wielkiemi miastami królestwa, Amsterdamem i Rotterdamem.

Scheveningen miało dotychczas z zacną kobietą to wspólnego, że bardzo mało o niem mówiono, a jeśli w ogóle wspominano, to zawsze dodawano uwagę o niesłychanej drożyźnie, ogromnych kosztach hotelowych a wreszcie o depresji austrjackich pieniędzy w Hollandji. Skargi te były zdaje się aż do niedawna bardzo uzasadnione i dlatego to z Austrji w ogóle bardzo mało arystokratycznych familij zwracało się ku holenderskim brzegom, a przygodni turyści rzadko dłużej nad kilka godzin w Scheveningen stawali. Ceny w istocie były szalone. Co się poczciwym synom Hollandji ubrdało, to musiał nieszczęsny a bezbronny cudzoziemiec płacić. Zwłaszcza z słynnego hotelu „d'Orange“ wychodził obcy niemal tak ogołocony, jak z rąk bułgarskich opryszków. Od dwóch lat zmieniła się jednak postać rzeczy. Pewne towarzystwo akcyjne wybudowało na miejscu spalonego przed dwoma laty Kurhauzu nowy wspaniały budynek, z piękną salą, mogącą pomieścić około 3000 osób, otworzyło tamże hotel, ustanowiło ceny stałe a przystępne. W ten sposób Scheveningen stało się miejscowością bardzo wziętą; zgromadza teraz rocznie 22.000 obcych. Co w Ostendzie zdobywać potrzeba energiczną walką, tutaj dostarczają z najściślejszą akuratnością, począwszy od kąpieli, którą bierze się z rana, aż do ostatniego numeru koncertów, wykonywanych przez berlińskie filharmonijne towarzystwo. Zasługi prawdziwe około wzorowego urządzenia zakładu położyli p. Zeiss, jego jeneralny dyrektor i p. Karcher, niewyczerpany w pomysłach arcydzieł sztuki kulinarnej. Są oni prawdziwą opatrznością dla obcych w Scheveningen. Im to zawdzięczać należy, iż nie nazbyt przyjacielski charakter ludu holenderskiego nie bardzo daje się obcym we znaki, co tem ważniejsze, że w niedzielne popołudnia, tudzież na większe koncerta napływa z Haagi mnóstwo publiczności tamtejszej.

Komunikację z stolicą ułatwiają cztery linje tramwajowe, dwie dla tramwajów parowych, dwie dla konnych. W dnie wspomniane tedy zalewa publiczność stołeczna, odświętnie wystrojona wybrzeża morskie i wówczas zmienia się spokojna fizjonomja miejsca kąpielowego do niepoznania. Całe wybrzeże zasiane jest lekkiemi namiotami i składanemi krzesełkami; starsi roskoszują się świeżem nadmorskiem powietrzem, młode pokolenia grzebią w piasku a na morzu kołyszą się łodzie rybaków, łowiących śledzie.

Skoro publiczność stołeczna zaleje Scheveningen, co się bardzo często zdarza, wtedy zdaje się, jakobyśmy byli w wielkiem światowem miejscu kąpielowem — i gdyby nie pewna właściwa krajowcom ociężałość, możnaby mniemać, że jest się w Ostendzie. Nie ulega wątpliwości, że bliskość stolicy wpływa nieco ujemnie na rozwój miejsca kąpielowego, odbiera mu spokój pogody, jeden z jego największych powabów. Nie można jednak zapominać, że równocześnie inne dobre swe strony zawdzięcza Scheveningen właśnie tej okoliczności, iż blisko stolicy leży. — Wspaniały park w Haadze, jeden z największych naturalnych parków na świecie, podobny nieco do wiedeńskiego Prateru, urozmaica wielce jednostajny pobyt nad morzem. W przepysznej alei „Marja-Pawłowna-Straat“ kończącej się prawie w Scheveningen, odbywa *corso* cały elegancki świat stolicy. Nie brak także i pieszych spacerowiczów, zatrzymujących się od czasu do czasu przy szczególnego rodzaju wózkach, obstawionych dzbankami mleka. Nad każdym wózkiem widnieje napis: „Melk-inrichtung“, a holendrzy odświeżają się podczas gorąca mlekiem, podobnie jak my wodą sodową albo limonjadą.

Kronika.

Lwów, dnia 20 lipca.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły pogorzelcom gminy Prusinów, w powiecie sokalskim, zapomogę w kwocie 100 zł.

Mianowania. Minister wyznań i oświecenia zamianował Wojciecha Ryglowskiego, zastępcę nauczyciela, rzeczywistym nauczycielem szkoły ćwiczeń c. k. seminarjum nauczycielskiego w Tarnowie.

Z Uniwersytetu. Pp. Stanisław Choróbski, rodem z Wadowic, Ludwik Emil Dąbrowski ze Skawiny, Aleksander Hener z Jasła i Mikołaj Łytyk z Woroniaków i Konrad Palka z Chrzanowa w Galicji, otrzymali na Uniwersytecie Jagiellońskim stopnie doktorów wszech nauk lekarskich.

Stypendjum. Wydział krajowy rozpisał konkurs na jedno stypendjum w kwocie 300 zł. z fundacji wystawy krajowej rolniczej i przemysłowej z r. 1877, przeznaczonej dla rzemieślników i przemysłowców, w kraju wykształconych, którzy wykształcenie swe jeszcze za granicą uzupełnić pragną. Podania wnosić należy najdalej do 1 listop. r. b. do Wydziału krajowego we Lwowie.

Jenerał Zakonu OO. Franciszkanów, Najprzewielebniejszy Ojciec Bonawentura Soldatic, przyjedzie z Rzymu na kapitułę, która się odbędzie w konwencie lwowskim w miesiącu sierpniu b. r. i zabawi w mieście naszem dwa tygodnie. Ojciec jenerał Soldatic jest bardzo przychylnie usposobionym dla polskiego narodu — sam bowiem z pochodzenia jest Słowianinem Dalmatyńcem.

Z prasy. P. Henryk Rewakowicz, wydawca i naczelny redaktor *Kurjera Lwowskiego* wystąpił z redakcji tego pisma.

Student medycyny Wierzbowski, który strzelał niedawno temu do panny M., córki dyrektora Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, zbiegł z Zakładu obłąkanych w Kulparkowie, gdzie był umieszczony. Za zbiegiem poczyniono poszukiwania.

Pogrzeb ś. p. Lubina Ilasiewicza odbył się wczoraj po południu przy licznym udziale tutejszej drużyny literackiej i dziennikarskiej. Nad mogiłą, po odprawieniu obrzędów kościelnych, przemawiał p. Platon Kostecki.

Zaprzeczenie. Niektóre pisma doniosły, że p. Witold Korytowski, radzca ministerstwa skarbu w Wiedniu, właściciel dóbr Grochowiska w Poznańskiem, sprzedał te dobra na kolonizację. Owóż *Kurjer Poznański* dowiaduje się, że p. Korytowski nie tylko nie sprzedał ojcowskiego majątku Grochowisk na kolonizacją, lecz nadto dokupił majątek Ustronie i Gostomkę, położony w powiecie mogilnickim.

Operetce lwowskiej bawiącej w Krakowie, podobno nie najlepiej się wiedzie. W dziennikach tamecznych znajdujemy wzmianki o jakichś przewrotach w łonie zarządu teatru i o nieporozumieniach pomiędzy artystami a dyrekcją. Powodem niemiłych zajść, których echa aż do dzienników doszły, miał być brak funduszów na wypłatę należących się artystom pensyj. W ostatnich dniach doszło do tego, że członek dyrekcji, a zarazem kasjer p. Sulimierski, usunął się z zarządu i wyjechał do Lwowa, a kasę i zarząd operetki w Krakowie na własną rękę objęli artyści pp. Skalski i Myszkowski.

Proces o zdradę stanu Z Gracu donoszą, że w St. Lorencen uwięziono nauczyciela szkoły ludowej Grzegorza Polaweca w skutek doniesienia do Rady szkolnej krajowej styryjskiej, która na podstawie tego doniesienia wniosła do prokuratorji państwa oskarżenie Polaneca o zdradę stanu. U Polaneca zrobiono ścisłą rewizję domową, poczem sąd obwodowy w Cilli zarządził uwolnienie uwięzionego. Oskarżenie opierało się na tem, że Polanec w obec większej liczby ludzi miał mowę, w której rozbierał ewentualność na wypadek wojny z Rosją.

Podczas pożaru we wsi Bieńczycach, który wybuchł w domu jednego z tamtejszych gospodarzy, spalił się żywcem 12 letni chłopak Tomasz Kuśnierz. Spał on w chwili wybuchu ognia na strychu, wraz z swoim starszym bratem. Starszy zdołał jeszcze w czas ocknąć się i przez strzechę wyskoczyć na ziemię; młodszy padł ofiarą płomieni.

Odznaczenie. Monsignor Gnatowski, sekretarz nuncjatury papieskiej w Monachjum, został mianowany tajnym podkomorzym (cameriere segreto) Ojca św. Donosząc o tem, *Bayrischer Kurier* dodaje: „To odznaczenie jest tem zaszczytniejszem, że dawniejszy audytor nuncjatury miał tylko rangę honorowego podkomorzego papieskiego. Winszujemy księdzu Gnatowskiemu z całego serca tego dowodu zaufania, którem się cieszy w najwyższych sferach rzymskich.“ — Rodak nasz, dobrze i zaszczytnie znany też w Krakowie, otrzymał także w tych dniach krzyż kawalerski (Ritterkreuz) würtemberskiego orderu korony, a to w następstwie podróży, którą odbył do Stuttgardu, towarzysząc nuncjuszowi msgrowi Agliardi, jadącemu złożyć życzenia papieskie królowi Würtemberskiemu w d. 25-letniego jubileuszu jego panowania. Z podobnej okazji otrzymał w tych czasach saski krzyż kawalerski orderu Albrechta I. klasy, po jubileuszu królewsko-saskiego domu Wettinów.

Dr. Józef Majer, wielce zasłużony prezes Akademji umiejętności, usuwa się już stanowczo od udziału w życiu publicznem miasta Krakowa.

W odpowiedzi na uchwałę tamtejszej rady miejskiej, która postanowiła jednomyślnie nie przyjąć złożenia mandatu radzieckiego przez dra Majera, wystosował on do rady pismo, że chcąc być konsekwentnym, od powziętego zamiaru rezygnacji nie odstąpi; byłoby to bowiem, jak powiada, igraszką niegodną tak rady jak i jego samego.

„Niechże wzgląd na to“ powiada szan. prezes w piśmie swem dalej „usprawiedliwi obstawanie moje przy rezygnacji wobec tych szanownych radzców, którzy dali początek uchwale i którzy ze szczerem sercem do niej przystąpili. Widzę ja w tym ich kroku poniekąd chęć indemnizowania na moję korzyść braku zaufania, jaki przy wyborach do Sejmu okazało mi właśnie to miasto, od którego tem mniej tego spodziewać się mogłem, że wiarę moję w wypróbowany stosunek między mną a miastem stwierdziło zgromadzenie przedwyborcze. Musiały jednak dokonać tego wtenczas zastępy starej gwardji, zwiększone temi młodszemi siłami, które świadome tradycji nie uległy zreformowaniu, które więc szły naprzód ze starszymi, nie myśląc o abocznych zabiegach. Wszakże być może, iż właśnie tej nieoględności na strategiczne obroty w pewnej części obywatelstwa krakowskiego zawdzięcza ona utrzymaną przewagę przy wyborach stanowczych. Że zaś przewaga ta, mniejsza czy większa, daje miarę usposobienia panującego w mieście, więc sądzę, że mu dogodzę, jeżeli, gdziekolwiekby zachodziła potrzeba jego reprezentacji, nie będę stawał na przeszkodzie tym, którzy przy zmienionem na teraz pojęciu publicznej zasługi, nabyli prawa do większego niż ja z jego strony zaufania.

„Wszakże postanowienie to nie ma nic wspólnego z uczuciem, które jako odtąd prywatny obywatel Krakowa, jako jego dziecko, a wierny syn ojczyzny, dla niego żywiłem i do końca dni moich żywić nie przestanę“.

Dyrekcja kolei państwowych nam donosi, że z dniem 16 lipca b. r. otwarty został ruch na linji lokalnej Hadersdorf (kolej lokalna) Sigmundsherberg Horn ze stacjami i przystankami: Hadersdorf (kolej lokalna), Gobelsburg (przystanek), Langenlais, Zöbing (przystanek), Schönberg u Kamp, Stiefern (przystanek), Plank, Gars, Rosenburg i Horn, a następnie na linji lokalnej Herzogenburg-Krems ze stacjami i przystankami: Herzogenburg-Wielausthal (przystanek) Ederding (przystanek), Stetzendorf, Meidling im Thal (przystanek) Paudorf, Göttweig (przystanek) i Furth Göttweig.

Powyższe stacje z wyjątkiem stacji Hadersdorf otwarte są dla wszelkiego ruchu, ta ostatnia stacja dla ruchu osobowego i pakunkowego a przystanki tylko dla ruchu osobowego.

Złoczów 18 lipca. Dwudziesto trzecie z kolei walne zgromadzenie Towarzystwa pedagogicznego w naszem mieście skończyło się dziś wycieczką do Podhorzec i do Sasowa. Kilkanaście podwód zabrało dziś rano kilkudziesięciu uczestników zjazdu i pod wodzą burmistrza złoczowskiego dr. Billeta ruszono przez świerkowe bory Sasowa i Pobocza do pamiętnych wspomnieniami historycznemi Podhorzec. Tu po zwiedzeniu zamku i jego pamiątek czekało przyjezdnych skromne śniadanie, więc przy niem nie obeszło się bez toastów. Więc na uczczenie zasług w zawodzie nauczycielskim i niezmordowanej gościnności w podejmowaniu uczestników zjazdu wzniósł dr. Gerstmann toast dla p. Sąsiedzkiego, inspektora szkół ludowych okręgu złoczowskiego, a p. Karol Benoni, zastępca dyrektora lwowskiej szkoły realnej, w przemówieniu pełnem zapału wzywał zgromadzonych nauczycieli, Polaków i Rusinów, do zgodnej pracy nad oświatą ludu. W imieniu ludu, któremu Towarzystwo pedagogiczne poświęca swoję pracę, przemawiał jeden z włościan podhoreckich, a z dumą powołując się na własny udział w walce o niepodległość w r. 1831 wskazywał, że dziś równie doniosłą i ważną jest walka na polu cichej a skutecznej pracy aby utrzymywać i wzmacniać nasz byt narodowy, zagrożony wynaradawianiem pod zaborem pruskim i rosyjskim.

Z południa w ogromny upał wyruszono z powrotem na Sasów, gdzie korzystając z uprzejmości właściciela tamecznej papierni p. Weisera oglądano tę fabrykę i jej urządzenia. Z deszczem wrócono do Złoczowa. Tu w ogrodzie oficerskim pod temi lipami, gdzie obradowano wczoraj, oczekiwał nas bankiet, urządzony przez reprezentację miejską. Niestety dziś deszcz okazał się mniej uprzejmym, niż wczoraj, a nawet gęsta osłona liści nie mogła ochronić biesiadników przed natrętnemi kroplami ulewy. Więc pod parasolami musiano naprędce spożyć podawane jadło i chcąc nie chcąc musiano skrócić znacznie szereg zapowiedzianych toastów. Było ich przeto tylko cztery. Pierwszy był burmistrza dr. Billeta na cześć cesarza. Drugi prezesa Towarzystwa p. Z. Sawczyńskiego, który pił na powodzenie miasta Złoczowa, pełnego świetnych tradycyj historycznych, dziękował za gościnne przyjęcie, a następnie z wdzięcznością wspomniał o uprzejmości władz wojskowych, które niczego nie pominęły do uprzyjemnienia pobytu pedagogów w Złoczowie. Następnie przemawiał inspektor Badańczyk na cześć duchowieństwa, a inspektor Sąsiedzki na cześć prezydjum Towarzystwa pedagogicznego. Kanonik i proboszcz złoczowski ks. Stachów zakończył ucztę staropolskiem: „Kochajmy się“, a słowom jego towarzyszyły równie głośne oklaski, jak głośnym był świst wiatru i coraz wzmagającej się ulewy. Przed godziną 9 skończył się bankiet, a z nią zjazd, bo nocnym pociągiem reszta uczestników opuściła gościnny Złoczów.

W sprawie pół miljonowej wygranej na loterji temeszwarskiej donoszą z Pesztu: Onegdaj, dnia 17 b. m., przybyła tajemnicza „czarna dama“ do Temeszwaru, gdzie na dworcu kolei oczekiwał ją naczelnik policji miejscowej. Zawiózł on ją wprost z dworca do sędziego śledczego. Sędzia śledczy przesłuchiwał ją przez parę godzin, poczem skonfrontował z uwięzionym Farkasem. Farkas, aż do tej chwili nie chciał wyjawić jej nazwiska, dopiero przy konfrontacji przyznał, że ją zna. Miał utrzymywać z nią stosunek miłośny. Według innych informacyj, czarna ta dama jest guwernantką jego dzieci.

Śledztwo dotychczasowe miało wykryć szczegóły mocno kompromitujące urzędników loterji w Temeszwarze. I tak osoby, które były podczas ciągnienia w dniu 6 lipca, przypominają sobie, że urzędnik Szubowicz zakrył sobą chłopca ciągnącego numeru w ten sposób, że publiczność nie mogła dostrzedz, czy on numera rzeczywiście z koła wyciągnął. Korbą koła obracał sam Szubowicz, wysławszy poprzód woźnego za jakimś interesem do miasta.

Przed celą Farkasa ustawiono straż nieustającą; zachodzi bowiem podejrzenie, iż dąży on do samobójstwa.

Stwierdzono z zeznań świadków, iż po raz piąty już się zdarzyło zastąpienie przeznaczonego do ciągnienia chłopaka — innym. Protokoły z tych ciągnień właśnie zaginęły.

Śledztwo wpadło na nowe poszlaki, trzymają je jednak w głębokiej tajemnicy.

O Szoboticsu donoszą, że ma za sobą przeszłość podejrzaną. Przed kilku laty zdefraudował z kasy loteryjnej 150 zł. Mimo to pozostawiono go w urzędzie. Do marca b. r. żył w biedzie, potem kupił sobie dom za 4000 zł. i prowadził życie wystawne.

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowna Redakcjo!

Odnośnie do artykułu tyczącego się mojej osoby w *Przeglądzie* z dnia 10 lipca r. b. Nr. 156 upraszam na podstawie § 19 ustawy prasowej o umieszczenie następującego sprostowania faktów:

Ja, Jakób Weiss, dotychczas uczeń IV klasy c. k. II gimnazjum wyższego nie liczę lat 18, lecz 16, rodzina moja nie należy do „arystokracji pieniężnej“, gdyż mój ojciec jest ubogim nauczycielem religji, nie posiada żadnego majątku a ja z udzielenia lekcyj prywatnych jakoteż dzięki pomocy Przełożeństwa zboru izr. nietylko siebie utrzymuję, lecz nawet rodziców wspomagam; nie mogę zatem „chełpić się z posiadania kamienicy i pieniędzy“.

Nie jest prawdą, jakobym rzucał „książkami“ na profesora, jakobym kupił rewolwer i groził nauczycielowi, o co ostatnie nawet sam nauczyciel mnie nie posądza. Nie jest prawdą, jakobym „tylokrotnie dał dowody gwałtowności i rozpasania“, gdyż nigdy nie byłem karany a na podstawie moich dobrych obyczajów byłem dotychczas od opłaty czesnego uwolniony.

Mając nadzieję, że Szanowna Redakcja w błąd wprowadzona, umieści powyższe sprostowanie pozostaję z głębokim szacunkiem

Jakób Weiss.

Dopisek od Redakcji. Z naszej strony dodać możemy, że wedle informacji przez nas w Dyrekcji c. k. gimnazjum niemieckiego zasięgniętych, mija się to sprostowanie o tyle z prawdą, że 1) Weiss podczas zajścia przez nas w Nr. 156 *Przeglądu* opisanego nietylko rzucił książką na profesora, lecz wychodząc z klasy wypowiedział mu jeszcze groźbę: „Nie ujdziesz ty swemu losowi“ (Du wirst deinem Schicksal nicht entgehen). 2) Weiss nie był od czesnego uwolnionym, gdyż uwolnienie to już w zeszłym roku utracił.

Wreszcie nadmieniamy, że w skutek zajścia tego Weiss został już z gimnazjum wydalony, o tem zaś, czy ma być wydalony ze wszystkich szkół w monarchji austrjackiej, rozstrzygnąć ma krajowa Rada szkolna, której decyzja w tym względzie jeszcze nie zapadła.

Otrzymujemy następujący artykuł z prośbą o ogłoszenie:

Na moje ręce przyszedł z Drezna chek do austrjackiego Banku kredytowego na 112 zł. 45 ct. z następującym dopiskiem:

„Szanownemu Prezesowi Towarzystwa Pomocy naukowej przyłączam list płatny na sumę 194 marek, pozostałe po rozwiązaniu Towarzystwa Politechników polskich w Dreźnie. Było mnie zostawione 164 marek 64 fen. Po trzech latach przybyło więc procentu do obecnego stanu sto dziewięćdziesiąt cztery marek. Z szacunkiem *Władysław Konopacki.*“

Z tego powodu składam szanownemu dawcy J. Wielm. Władysławowi hr. Konopackiemu z głębi serca pochodzące „Bóg zapłać“.

Myśl poczciwa w naszem społeczeństwie znajdzie zawsze poparcie. Utrzymujemy bursę dla ubogiej młodzieży. Kształci się obecnie 30 kilku wychowanków. Gdy przed rokiem powzięliśmy zamiar wybudować dom własny, zdawało się to wielu rzeczą zbyt śmiałą. Dziś mamy już prześliczny grunt i kilkaset zł. na rozpoczęcie budowy. Datki zaczęły płynąć, jakkolwiek nie ogłaszaliśmy nigdy prośby o nie i mamy nadzieję, że nie tylko gmach stanie, ale i powstaną fundacje na pojedyńcze miejsca w bursie, które daleko większą korzyść przyniosą społeczeństwu, aniżeli stypendja. Stypendysta sam sobie pozostawiony, wychowanek Bursy jest pod ciągłym dozorem i tylko wtedy pobiera wsparcie, jeżeli się dobrze zachowuje i pilnie uczy.

M. Służewski,
Dyrektor Tow. pom. nauk.

Z Nowego Sącza piszą nam pod dniem 17 lipca:

Mieliśmy tutaj niedawno uroczystość religijną: prymicje ks. Stanisława Czerskiego. — Narzekają powszechnie, że tylko włościanie ofiarują swych synów na usługi ołtarza; tymczasem nowowyświęcony jest jedynym synem kancelisty tutejszej rady powiatowej, tu też kończył gimnazjum i tu sprawował pierwszą ofiarę ołtarza.

Na uroczystość tę wybrano niedzielę (17 bm.) jako dzień odpustu na św. Małgorzatę. Zjechało się na to święto ze czternastu księży, wśród których widzieliśmy sybiraka, więźnia kopalń akatujskich, ks. Grodzickiego.

Księdza prymicjanta wprowadzono procesjonalnie do kościoła, gdzie rozpoczął sumę, wśród której ks. kanonik Rozwadowski wygłosił mowę, wykazując trudne ale szczytne powołanie kapłana wobec Boga i ludzkości. — Po skończonej sumie ksiądz prymicjant ściskał głowy kapłanom, rozrzewnionym rodzicom, rodzeństwu, swoim profesorom i reszcie publiczności, po czem ks. kanonik dr. Góralik podejmował gości u siebie na plebanji..

Onegdaj o piątej z rana trąbka dała hasło do ruchu strażackiego. Trwożliwsi mieszkańcy wylegli na rynek; tymczasem byłyto tylko ćwiczenia straży ogniowej na rynku pod kierownictwem pp. Tryblinga Szmidhauzena. Strażacy wykonali zdumiewające ćwiczenia zręczności, przy czem pracowały trzy sikawki. Popis ten napoił nas otuchą co do bezpieczeństwa mienia. — Oprócz dwóch dawniejszych (Urban i Smołucha) przybył jeszcze z Bochni (odbywszy praktykę we Lwowie) majster kominiarski p. Al. Stępniowski. Wobec tak silnej straży fachowej spokojnie teraz zasypiać możemy.

W niedzielę straż pożarna miejska łącznie z kolejową, przy dwóch muzykach, udają się umyślnie przez dyrekcję dozwolonemi wagonami do Starego Sącza dla zawiązania tamże straży pożarnej.

Miasto nasze zabudowuje się i posuwa ku dworcowi. Z nowo powstałych budowli w rynku wyróżnia się hotel o szesnastu pokojach pana F. Szwarca przy poczcie, ładny i wygodny.

Z okazji wizytacji biskupiej nasza okolica jest w pełnym ruchu. Wszędzie krzątają się około godnego przyjęcia dostojnego gościa. Już bowiem rok 28 mija, jak były ostatnie wizyty pasterskie; i nic w tem dziwnego, gdyż dyecezja krakowska obejmowała połowę dzisiejszego biskupstwa krakowskiego. Ale nawet i teraz, gdyby cny pasterz po dwa dekanaty w roku objeżdżał, to mając ich szesnaście, mógłby do nas dopiero za lat ośm znowu zawitać.

Mamy już wiadomość, jak dostojnego pasterza witano w najbliższych parafjach. I tak w Biegonicach banderje wyruszyły naprzeciw, a gdy procesja na granicy czekała, konni pospieszyli do Żeleźnikowej. Przybyłego dostojnika w dwóch bramach (przy kościele i przy plebanji) z napisem „Jeżeli mam łaskę, nie omijaj domu mego“ witały zwierzchności miejscowe, po czem tenże przy sumie i kazaniu udzielił 300 młodzieży Sakramentu bierzmowania, a po południu odjechał do Podegrodzia.

W Jazowsku dziedzic (żyd) wystawił bramę, a syn jego, doktor praw, powitał dostojnika słowami: „*Benedictus, qui venit*“. Otrzymał też odpowiedź, że „oświata przygarnia ludzi“.

Tak samo w Łącku wystawiono bramę z napisem „Witaj nam! z tobą błogosławieństwo wchodzi pod strzechę naszę!“

Dziś dostojny pasterz jest w Tylmanowie, jutro będzie w Ochotnicy, pojutrze w Czarnympotoku, dalej w Łukowicy, Przeszowie, w Kaninie, a u nas będzie dopiero 26 bm. Już dziś krzątamy się około bramy wjazdowej przy której przyjmiemy pasterza z muzyką i chorałem amatorów „*Ecce sacerdos magnus*“.

Dziś pochowaliśmy ks. Henryka Kimana T. J., profesora filozofji z Tarnopola. Przybywszy tu na wakacje dla wytchnienia, pojechał do Zakopanego. Tam spadł z konia, przeziębił się i dostał udaru słonecznego. Powróciwszy do Sącza, we 24 godzin już nie żył. — Kondukt wiodło dwunastu księży. Miasto ofiarowało swą muzykę, a nad grobem przemówił ks. St. Załęski na temat „Błogosławieni, którzy w Panu umierają“. — Nieboszczyk był rodem Hanoweranin, uczeń westfalski, liczył 60 lat życia; tu uczył się po polsku i uczył młódź polską filozofji, którą napisał gotową do druku. — Pokój jego duszy!

Z powiatu oszmiańskiego piszą do warszawskiego *Słowa*:

Idą na sprzedaż w oszmiańskim powiecie olbrzymie dobra Jana hr. Tyszkiewicza, Wołożyn, składające się z 19 majątków: Wołożyn, miasteczko o 1100 dymach, Sakowszczyzna, Kozińce, Kapuścińce, Łojkowszczyzna, Szeroki Łoh, Adampole, Szapowały, Marjangóra, Bobrowicze, Józefowo, Dubina, Adamowo, Batury (Batory?) Michałowo, Pieślewice, Możejki, Kacińci, Popowszczyzna. Przytem młyny dwa duże i jeden mniejszy, kilkanaście karczem, kilkadziesiąt zaścianków, niezmierzone przestrzenie lasów pełnych zwierzyny i sianokosów... słowem kraj o niewyczerpanych bogactwach natury, zajmujący cztery mile kw. przestrzeni, z królewską rezydencją, składającą się z murowanych pałaców.

Wszystko to sprzedaje się za półtora miljona rubli, podczas kiedy same lasy wołyńskie warte tyle, jeżeli nie więcej.

Można mieć wyobrażenie o ogromie dochodów z tych dóbr z daniny, jaką leśnicy składają dworowi od braci swoich rozsypanych po lesie; danina ta wynosiła dawniej do tysiąca pudów miodu. Leśnicy (najniższy szczebel hierarchji administracyjnej) prawdziwe mają fermy, trzymają po 40 sztuk bydła, tj. prowadzą gospodarkę równającą się co do siły gospodarce tutejszych średnich obywatelskich folwarków, a takich leśników jest 48. A lasy, których strzegą, tak pełne są zwierzyny, że na ostatniem polowaniu hrabiego wybiegło na strzał od razu 16 łosi.

Słynie Wołożyn śliczną cerkwią, przerobioną w roku 1863 z kościoła zbudowanego na wzór wileńskiej katedry, oraz znakomitą akademją żydowską. Około 600 młodzieży żydowskiej ze wszech stron świata pobiera tutaj wyższe talmudyczne wykształcenie. Są tu uczniowie z Ameryki, z Egiptu; stąd też rozsyła ta akademja swoich wychowańców na posady rabinów do najodleglejszych punktów kuli ziemskiej lub na stanowiska wymagające ludzi jak najuczeńszych. — Rabin wołożyński (powiadają) jest powagą nieomylną, do której żydzi całego świata udają się po wyrok w najzawilszych sprawach. — Ma się rozumieć, że tu mowa o żydach ortodoksach; ci którzy nie noszą jarmułek i pejsów, śmieją się nawet i z wołożyńskiego rabina.

Otóż — wracając do kwestji sprzedaży dóbr — główną przyczyną tego kroku jest ta okoliczność, że administracja doprowadziła dochód prawie do zera. Słyszeliśmy, że interes już jakby ukończony; że nabywca, bogaty hrabia rosyjski, przysłał rządzcę dla oswajania się zawczasu z warunkami miejscowemi i studjowania machiny administracyjnej. Niewiele on się nauczy, jeżeli chodzi o umiejętność powiększenia dochodów; ale w sztuce zużywania takowych znajdzie się w dobrej szkole.

Opowiadał mi znajomy a dobrze wtajemniczony w tameczne stosunki, że przy oddawaniu z licytacji sianokosów wołożyńskich w coroczną arendę pewien uczątek szedł zawsze za pięć rubli. W tym wszakże roku ów przybyły od nabywcy rządzca przez ciekawość asystował przy licytacji, która — mając obcego świadka — musiała stracić dawniejszy swój charakter i w skutek tego za ten sam kawałek ten sam chłop dał 32 ruble.

Jeżeli wszystkie artykuły dochodu tak samo dawały sześć razy mniej niż były warte, to nie dziw, że właściciel otrzymując z kilkumiljonowego funduszu zaledwie nędznych kilka tysięcy, wolał mieć półtora miljona gotówki, od której choćby tylko 5 pct. daje 75 tysięcy rubli.

W stolicy Czarnogóry odbył się onegdaj obrzęd chrztu, udzielonego synowi księcia Piotra Karageorgewicza. Nowochrzczeniec otrzymał imię Aleksander. Ojcem chrzestnym był car, jednak nie osobiście lecz zastąpiony przy obrzędzie przez posła rosyjskiego w Cetynji.

Królowa hiszpańska odbyła niedawno przejażdżkę balonem. Przejażdżkę tę opisuje pułkownik hiszpański Don Pio de Paros y Vela-Hidalgo jak następuje:

„Przejażdżkę odbyła królowa w dniu 27 czerwca w balonie, którego używają żołnierze naszej inżynierji do ćwiczeń. Byłem tak szczęśliwym, żem mógł własnemi oczyma widzieć i podziwiać odwagę naszej ukochanej władczyni, która mając nieograniczone zaufanie do naszej inżynierji zdecydowała się na to, na co jeszcze żaden z monarchów się nie odważył. Była to scena wzruszająca... Żołnierze inżynierji trzymali małą łódkę balonu w chwili, gdy królowa z pułkownikiem Ayllon do niej wsiadała; a była przytem tak spokojną i taka dziecinna prawdziwie radość malowała się na jej twarzy, że bylibyśmy tem wszyscy zachwyceni i w chwili, gdy królowa dala znak do puszczenia balonu, wznieśliśmy mimowoli gromki okrzyk „Viva“. — Oczyma śledziliśmy pilnie w powietrzu balon, który wkrótce wzbił się do wysokości 300 metrów, królowa patrzyła się z łódki na ziemię i powiewała chustką. Zwolna spuścił się balon, a gdy żołnierze uchwycili już łódkę, wtedy oto czyliśmy ją szerokim kołem, a królowa zeskoczyła na ziemię i znalazła się w kole najwierniejszych, ubóstwiających ją żołnierzy. Entusjastycznym okrzykom nie było końca“.

Wojna europejska. Czytamy w *Czasie*: „Wojna europejska już wybuchła — i to w Krakowie — przez artystę malarza wydana całej młodszej części społeczeństwa. Pod tym bowiem groźnym tytułem pojawiła się nowa gra towarzyska, wymyślona przez artystę malarza p. Łuskinę. W grze tej biorą udział sprzymierzeni: Wiedeń-Berlin i strona przeciwna: Petersburg-Paryż. Drogi operacyjne oznaczone są: dla armji austrjackiej żółtym kolorem, dla pruskiej niebieskim, dla rosyjskiej zielonym i dla francuskiej czerwonym. Punktami głównemi są: punkt połączenia się z armją sprzymierzoną, bitwa z armją nieprzyjacielską i zajęcie stolicy nieprzyjacielskiej. — Nr. 40 środkowy na tablicy gry oznacza pokój europejski i kto pierwszy do niego dochodzi, ten wygrywa całą pulę. Gra jest bardzo dowcipnie pomyślaną, i o ile wiemy cieszy się już powodzeniem. — P. Łuskina przygotował egzemplarz gry w języku francuskim i niemieckim, i pragnąć wypada, aby również za granicą rozpowszechniła się szeroko „Wojna europejska.“ — Karta wojenna wykonaną jest gustownie w litografji p. Pruszyńskiego, a na wystawach wielu sklepów „Wojna“ oglądaną jest z ciekawością.“

Dodamy, że u nas we Lwowie tablice nowej gry towarzyskiej wystawione są w handlu papierowym p. Hawranka.

Sprytny dworzanin. Jedno z podań indyjskich opiewa, iż pewien możny władzca zgromadził wszystkich swoich dworzan i przyrzekł dwa wielkie dyamenty temu, który odbędzie podróż naokoło świata w przeciągu najkrótszego czasu. Każdy oświadczył, iż dołoży wszelkich starań, aby lądem czy wodą zadowolnić żądanie władzcy; jeden dworzanin tylko siedział w milczeniu, głęboko zamyślony. „I cóż Kohino“, zapytał władzca, „cóż ty zamierzasz uczynić?“ Kohina wstał, obszedł dokoła swego pana i rzucił mu się do nóg mówiąc: „Najpotężniejszy ze wszystkich władzców, ty jesteś moim światem!“ I Kohina otrzymał dyamenty.

Zburzenie kaplicy św. Stanisława Kostki. Urzędowy dziennik papieski *Osservatore Romano* ogłasza następujący komunikat p. t.: „Kapliczka św. Stanisława Kostki“:

„Przed kilku laty sławny pisarz polski Józef Ignacy Kraszewski wystosował do *Gazzetta d'Italia* energiczny protest przeciwko zamierzonemu zburzeniu celi św. Stanisława w klasztorze św. Andrzeja na Kwirynale w Rzymie, uważanej za pomnik narodowy przez Polskę całą, a dzienniki polskie ogłosiły cztery adresy, okryte tysiącami podpisów, do króla Humberta i do królowej Małgorzaty: dwa, aby ich prosić o zachowanie kapliczek, dwa zaś dla podziękowania im za obiecaną nietykalność. Ostatni dziękczynny adres pań polskich miał dziesięć tysięcy samych kobiecych podpisów. Ogłosił go *Corriere della Sera* z dnia 27 lipca 1888 roku. Wszystkie najognistsze wyrazy, jakie wdzięczność za ogromne tylko dobrodziejstwo natchnąć może, były w nim użyte. Zachowanie kapliczek św. Stanisława zdawało się tedy zapewnionem. Jakoż zostały one nietknięte w czasie, gdy przeszłego roku rozbierano w części pojezuicki nowicjat dla wzniesienia facjaty, przeznaczenia dla ludzenia oka cesarskiego gościa. Później dopiero zaczęto mówić o rozebraniu rogu występującego z budowli, w którym się właśnie mieściła trzecia kapliczka, gdzie Jego Świątobliwość Leon XIII. prymicje odprawiał. Ale po obchodzie na cześć Giordana Bruno wszystko się nagle zmieniło. Dla oszczędzenia sobie trudów i kosztów, zamiast przenieść kapliczkę na poziom kościoła, jak niegdyś już proponowano, przekonano się, iż będzie rzeczą nierównie prostszą, zburzyć wręcz święty pomnik, a wybudować natomiast w pobliżu kościoła naśladowanie, podobizne trzech kapliczek, przenosząc tam ołtarz i posąg świętego, późniejszy o wiek cały od św. Stanisława. Kto powziął oryginalny koncept naśladowania kapliczek, natchniony był widocznie udanemi starożytnościami willi Torlonia za Porta Pia i względem na prostoduszność osób na adresach podpisanych. Rodacy św. Stanisława poczytywani chyba są za naród głupowatych (*un populo de cretini*), któremu się ofiaruje udane relikwie w Rzymie!... A tymczasem dzieło zniszczenia już rozpoczęto. Przeniesiono już ołtarz i obraz Minardiego, a wczoraj posąg, poczem zacznie się obalanie ścian. Łatwo sobie wyobrazić bolesne zdumienie i srogie rozczarowanie jakie ogarną Polskę, która adresami swemi domagała się i pewną była, że otrzymała ocalenie swego narodowego pomnika a widzi się oszukaną w taki sposób!“

Fałszerze mleka. Amerykanie, szczególniej północni, to prawdziwi mistrze w fałszowaniu wszelkich artykułów żywności. Nie ma zaiste żadnego przedmiotu na pokarm ludziom przydatnego, któregoby niesumienni Amerykanie nie fałszowali, częstokroć z tak wyrafinowaną umiejętnością, iż ubolewać potrzeba, że nie obrócono jej na rzecz uczciwą. Wiadomo powszechnie, że w Ameryce północnej istnieją liczne fabryki, które na wielką skalę fałszują masło, lub smalec. Ten proceder otrzymał w najświeższym czasie nowy przyczynek w fabrykach, zbudowanych jedynie w tym celu, żeby fałszować mleko. Nie trudno się domyślić, iż takie fałszerstwo nie ogranicza się na prostem zbieraniu z mleka śmietany, na dolewaniu wody do niego, lub temu podobnie, bo do tego nie byłoby potrzeba osobnych fabryk. Nie, rzecz dzieje się nieco odmiennie. Naprzód oddziela się od świeżego mleka wszelka zawarta w niem tłustość, a na jej miejsce dodaje się za pomocą sprytnie obmyślanych przyrządów fabrycznych, tyle jakiego taniego tłuszczu, ile mu poprzednio ujęto naturalnego; najczęściej ku temu celowi posługują się margaryną. Tym sposobem jeżeli taka manipulacja odbywa się na szerokie rozmiary, fabrykant ma zyski nie małe, a przytem fałszerstwa nikt nie zdoła się dopatrzeć, nawet za pomocą najsztuczniejszych przyrządów do mierzania wartości mleka, bo zawartość tłuszczu w fałszowanem mleku jest ta sama co w naturalnem. Oszustwo dopiero wtedy wychodzi na jaw, gdy kto z takiego mleka chce zrobić masło, gdyż to jest rzeczą niemożliwą. Ależ kto kupuje mleko, by sam sobie z niego miał robić masło? Zazwyczaj sztuka udaje się długo, zanim kupujący się spostrzegą, że ich oszukiwano haniebnie.

Złośliwa.

K a z i o. O Boże! Czyż wszystkie me łzy i zaklęcia serca twego rozmiękczyć nie zdołają? W głowie mi coś pęka!

S t a s i a. W głowie ci coś pęka? rozumiem teraz ten szmer, który brałam za szelest przewracanej słomy.

Literatura i Sztuka.

* **Na wystawę Towarz. przyjaciół sztuk pięknych** we Lwowie nadeszły następujące dzieła sztuki: 1. Harasimowicza Mi: „Portret śp. dr. Biesiadeckiego“, 2. Malczewskiego Jacka: „Portret P. Dobr.“, 3. Gersona Wojciecha: „Bitka o dziewczynę“, 4. tegoż: „Przeprawa przez strumek górski“, 5. Schanten Kornelli: „Kwiaty“, 6. Swieszewskiego „Ranek“, 7. tegoż: „Wieczór“, 8. Brodowskiego: „Zniszczenie w ogrodzie warzywnym“, 9. Kossaka Jul.: „Utikaj do matiery dziczy synu“.

* **Artyści polscy na wystawie paryskiej.** Na międzynarodowej wystawie powszechnej w Paryżu otrzymał Józef Chełmoński najwyższe odznaczenie, t. z. medal honorowy, który posiadali dotąd z polskich artystów tylko: Matejko, Siemiradzki i ś. p. H. Redlich, znany rozgłośnie sztycharz, który kopiował rylcem „Skargę“ i „Zygmunta Augusta“ Matejki, oraz wiele innych utworów pierwszorzędnej wartości i pierwszorzędnego znaczenia.

Na tejże wystawie Wacław Szymanowski za obraz „Walka huculów“ otrzymał złoty medal pierwszej klasy, będący także jedną z najzaszczytniejszych nagród, jakie sąd wystawowy artyście przyznać może.

* **Marsz żałobny** W. Czerwińskiego. W handlu księgarskim pojawiła się świeża kompozycja znanego naszego muzyka p. Wilhelma Czerwińskiego: *Marche funèbre.* Rzecz ta wykonana w ubiegłym sezonie koncertowym na estradzie, powszechny znalazła poklask i uznanie. Jest to rzeczywiście utwór piękny, silny i podniosły, z głębokiem przejęciem się pisany; niektóre akordy przypominają siłą wyrazu jakby echa z ponurej *Damnation de Faust.* Utalentowanemu kompozytorowi. który rzecz swą dedykował cieniom swej matki, szczerze powinszować tego utworu możemy.

Z prawdziwą też radością dowiadujemy się, że kompozytor przygotował już do druku cały szereg nowszych swych utworów, które szersza publiczność poznała z wykonania w koncertach, a z któremi mimo poszukiwania w handlu księgarskim spotkać się nie mogła.

Część ekonomiczna.

= **Z Rumunji** wiadomości o tegorocznych zbiorach nie są zupełnie pomyślne. Sprzęt miano wicie pszenicy jest na ilość dobry a nawet miejscami bardzo dobry, lecz jakość ziarna okazuje się średnią, bo gwałtowne upały powstrzymały normalny rozwój ziarna. Jak wszędzie tak też w Rumunji ceny zboża podskoczyły nagle i znacznie, tak że centnar metryczny pszenicy, za który płacono rok temu 10 franków w złocie, płacą obecnie w Braile lub Galacie po 16 franków. Cena kukurudzy podnosi się również.

= **Na zbożowym targu wiedeńskim** od dwóch dni ożywiły się znacznie obroty, a ceny rosną ustawicznie. Przyczyna tego nie leży w nieurodzaju galicyjskim, bo zbiory nasze za mało oddziałują na handel międzynarodowy, nie leży również w niepomyślnych żniwach węgierskich, bo najświeższe ztamtąd wiadomości mniej pessymistycznie zapatrują się na tegoroczne zbiory w Węgrzech — lecz przyczyną ruchu zwyżkowego są wieści, że deszcze i burze panujące od początku bieżącego miesiąca na zachodzie Europy uczyniły wątpliwemi tegoroczne wyniki zbiorów, że przeto kraje konsumujące znacznie większego zapotrzebują importu obcego zboża... W skutek też tego cena pszenicy na jesień dosięgnęła onegdaj w Wiedniu 9 zł. za centnar metryczny i zdradza silne usposobienie ku dalszej zwyżce.

= **Kr. fabryka portland cementu** w Szczakowej otrzymała dostawę cementu dla magistratu m. Lwowa, oraz do budującego się obecnie gmachu kasy oszczędności. — Dotychczas sprowadzano do budowli miejscowych wyłącznie tylko p r u s k i cement, co ze względów ekonomicznopaństwowych dość smutnym było faktem.

Produkcja roczna w Szczakowej wynosi narazie już 100.000 beczek po 200 kg., tj. 20 milj. kilogr. czyli 2000 wagonów, a, jak się dowiadujemy, przeprowadza fabryka w tym roku znaczne rozszerzenia zakładu, w skutek czego i produkcja rosnąć będzie.

Spodziewać się należy, że przy przedsiębiorstwach i dostawach w kraju naszym szczakowski cement zawsze otrzyma pierwszeństwo, i że produkt pruski odtąd raz na zawsze z naszego kraju wyrugowany zostanie.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu. — Kraków 19 lipca.

Pomimo, że ceny nominalnie utrzymują się prawie na tej samej wysokości, jednak na targu dzisiejszym uwidoczniło się już słabsze usposobienie.

Przyczyną tego jest ta okoliczność, że młyny miejscowe zakupiły w ostatnim czasie znaczniejsze partje pszenicy krajowej i transitowej i dla tego obecnie nie zdradzają wielkiej chęci do zakupna. Już przez to samo odbyt, ograniczony zresztą tak samo jak przedtem do potrzeb miejscowych, staje się utrudnionym, a obok tego oddziałała niekorzystnie na usposobienie i ta okoliczność, że Węgry, zachęcone wysokiemi cenami u nas, występują z ofertami swojej pszenicy.

Tym sposobem ofiarowanie zaczyna brać górę nad zapotrzebowaniem, a ponieważ sprzedający nie chcą się pogodzić z istotnym stanem rzeczy, żądań swoich nie redukują wcale, więc obroty są utrudnione i ograniczały się dzisiaj do pomniejszych partyj, które dla młynów, lub na spekulację zakupiono.

Płacono za pszenicę białą od 8·90 do 9·15 zł., za czerwoną od 9 — do 9·25 zł., za żółtą od 8·90 do 9·15 zł.; za żyto od 7·50 do 7·75 zł.; za jęczmień od 6·50 do 7·50 zł.; za owies od 7·50 do 7·75 zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 19 lipca.

(Z) Wzrost cen zbożowych, który wywołał silny ruch na targowicy naszej i podniósł cenę pszenicy do 9 zł., wywarł na naszę giełdę wprost przeciwne wrażenie. I było to zupełnie naturalnem, bowiem drożyzna zboża jest cyfrowym obrazem nieurodzaju, a nieurodzaj w kraju przeważnie rolniczym, jakim jest Austrja, źle nadzieje rokuje w jego najbliższy bilans ekonomiczny. Tam przeto, gdzie bilans ten wykaże niedobór, muszą się przerzedzić szeregi kapitałów szukających pomieszczenia w zakupnie papierów wartościowych, a w obec tego ścieśnić się musi krąg operacji targu pieniężnego.

Takie wrażenie odniosło się na naszej giełdzie na wiadomość o nagłej zwyżce w zbożu i dlatego trudno się prawie dziwić, że dzień dzisiejszy był dla naszej spekulacji chmurnym, a w zastoju, nieprzerwanym przez nacisk giełd sąsiednich, cofnęły się nieznacznie wszystkie kursa.

Ostatecznie notowano:

Kred. austr. 303·50, węgier. 317·—, angloh. 124·30, uniony 225·—, bankvereiny 105·75, länderbanki 230·30, ludwiki 190·50, czerniowiec. 235·75 renta papier. 83·90, srebrna 84·70, austrj. złota 109·85, papier. 99·70, węg. złota 100·05, papiero wa 95·15.

Ruble 1·20¾ zł.

Telegramy „Przeglądu“.

Temeszwar 19 lipca. Na razie nie potwierdzają się wieści o aresztowaniu „czarnej damy“, omawianej tylekrotnie w sprawie wielkiej wygranej Farkasa.

Budapeszt 19 lipca. Profesor Antal badał chorego Juljusza hr. Andrassy'ego i orzekł, że narośl, jaka mu się zrobiła, nie ma złego charakteru.

Petersburg 19 lipca. Mówią, że rada państwa ukończyła już obrady nad projektem Tołstoja utworzenia posad naczelników poszczególnych dystryktów prowincjalnych, i sankcja cara niebawem nastąpi.

Berlin 19 lipca. Na dzisiejszem posiedzeniu magistratu zawiadomił przewodniczący obecnych, że cesarz austrjacki wyraził życzenie, ażeby z powodu żałoby jego, władze miejskie Berlina zaniechały wszelkiego urzędowego uroczystego przyjęcia, wszelkiego przystrajania ulic, wystawiania bram tryumfalnych i t. d.

Kreuzzeitung donosi, że portret cesarza Wilhelma w naturalnej wielkości, przeznaczony dla cara Aleksandra, odesłano już do Gatczyny.

Praga 19 lipca. Przy wyborze w Smichowie wybrano posłem do sejmu staroczecha burmistrza Ethenitzky'ego 604 głosami. Kontrkandydat jego młodoczech Krajci otrzymał 529 głosów. Niemieccy wyborcy wstrzymali się od głosowania.

Londyn 19 lipca. W izbie niższej oświadczył Fergusson, że w razie nieprawdopodobnej wojny między Francją a Włochami, rząd angielski zastósowałby swą akcję do szczególnych okoliczności, jakie zachodziłyby w tym czasie i kierowałby się względami na interesa Anglji. Rząd nie przyjął na się żadnych zobowiązań, któreby mogły krępować swobodę jego w tym względzie i nie miał nigdy powodu obwiniać rządu francuskiego o korsarski projekt napadu na Spezzię.

Mówca nie czytał artykułu dziennika *Opinione* w tej kwestji, nie może więc o nim swego sądu wydać.

Rzym 19 lipca. *Popolo romano* zaprzecza wiadomości podanej przez *Opinione*, o dymisji ministra wojny.

Bruksela 19 lipca. Zaprzeczają tu zupełnie doniesieniu paryskiego dziennika *Nouvelle revue* o wrzekomej rozmowie belgijskiego posła w Berlinie z hr. Herbertem Bismarkiem o wewnętrznych sprawach Belgji.

Kolonja 19 lipca. *Koelnische Ztg.* w telegramie z Petersburga donosi, że car wyraził zamiar złożyć wizytę cesarzowi Wilhelmowi już podczas podróży swej do Danji i to w jednem z miejsc nadbrzeżnych, albowiem nie chce jechać do Berlina.

Zjazd obu cesarzy ma mieć miejsce 21 albo 22 sierpnia.

Grac 19 lipca. Starostwo w Leoben nakazało wyszupasować 39 strejkujących górników. Siedmiu z nich wniosło przeciw temu zarządzeniu rekurs do Namiestnictwa. Namiestnictwo nie uwzględniło tych rekursów i zawiadomiło o tem telegraficznie zwierzchność gminną w Leoben. W skutek tego uchwaliła zwierzchność gminna udać się do starosty i do namiestnika z prośbą, ażeby wstrzymano wyszupasowanie strejkujących, gdyż wykonanie tego zarządzenia rozdrażniłoby górników i mogło wywołać ekscesa. Na tę prośbę oświadczyło Namiestnictwo natychmiast w drodze telegraficznej, że uchwała ta zwierzchności gminnej, jako nieprawne wmięszanie się w zakres działania władz rządowych, jest niestosowną i ubolewania godną, gdyż podkopują powagę władzy i utrudnia jej zadanie.

Wedle wiadomości prywatnych, zmowa w Voitsberg skończyła się.

Sofja 19 lipca. Były reprezentant serbski Danic, który dziś do Belgradu odjeżdża, otrzymał od księcia wielką wstęgę orderu Aleksandra

Goranow, delegat bułgarski do zawarcia traktatu handlowego z Serbją, otrzymał rozkaz powrotu do Sofji, lecz drugi delegat Belczew pozostaje jeszcze w Belgradzie.

Od dziesięciu dni nie prowadzą delegaci w tej sprawie żadnych obrad, gdyż serbscy delegaci co do kilku punktów traktatu zażądali od swego rządu instrukcyj. Tutejsze sfery polityczne są zdania, że obrady nad tym traktatem rozbiją się skutkiem panującego obecnie w Serbji prądu politycznego, jakkolwiek traktat ten głównie Serbji na korzyść by wyszedł.

Paryż 19 lipca. Boulanger wydał manifest z datą Londyn 18 b. m.: Nazywa on ustawę o kandydaturach w kilku okręgach naruszeniem powszechnego prawa głosowania, lecz naród da wyraz swej najwyższej woli i energicznie zaprotestuje niewątpliwie przeciw takiemu nienawistnemu pogwałceniu prawa. Komitet narodowy uchwalił przy wyborach do rad departamentowych postawić kandydaturę Boulangera w 24 okręgach. Boulanger wzywa wyborców, ażeby głosowali na niego tylko w tych okręgach, które on im wskaże. Werdykt ludu, jaki on przy wyborach wyda, będzie początkiem bliskiego już wielkiego tryumfu, a ta banda, która jest zakałą kraju, będzie wymiecioną. Gdy spokój wewnętrzny znów we Francji przywrócony zostanie, wtedy dójdzie ona znów do władzy.

„Niech żyje Francja, niech żyje narodowa rzeczpospolita!“

Konstantynopol 20 lipca. Rząd kazał dwom bataljonom w Bejrucie wsiąść bezzwłocznie na okręty. Udadzą się one do Krety.

Paryż 20 lipca. W poniedziałek ma się ukazać nowy manifest Boulangera jako odpowiedź na akt oskarżenia.

Zgromadzenie bulanżystów w Marsylji uchwaliło przy wyborach do rad jeneralnych postawić kandydaturę Boulangera w czterech okręgach.

Wiedeń 20 lipca. *Wiener Ztg.* donosi: Cesarz zamianował hr. Jana Tarnowskiego marszałkiem, a arcybiskupa Sembratowicza wicemarszałkiem Sejmu galicyjskiego.

Londyn 20 lipca. Biuro „Reutera“ donosi z Zanzibaru, że Włosi oświadczyli, iż wycofają się z międzynarodowej blokady.

Petersburg 20 lipca. Wielki książę Konstanty stryj cara dostał ataku apoplektycznego, który spowodował sparaliżowanie całej prawej strony i utratę mowy.

Podziękowanie i polecenie.

Nasi synowie, gimnazjaliści, umieszczeni byli przez ostatnie dwa lata szkolne we Lwowie u Wielm. Klementyny Starzewskiej, wdowy po c. k. notarjuszu, znaleźli tam prawdziwie rodzicielską opiekę pod każdym względem i tego roku zdali obydwaj egzamin dojrzałości. Składając niniejszem tej zacnej Pani nasze gorące podziękowanie za jej macierzyńską troskliwość nad naszymi synami, mamy sobie za miły obowiązek podać do publicznej wiadomości, że ktoby pragnął znaleść dobre umieszczenie dla uczących się synów i papilów, temu sumiennie polecamy opiekę Wielm. pani **Klementyny Starzewskiej,** mieszkającej obecnie we Lwowie ulica Staszyca l. 8.

2854 5—6 *Kornelowie Horodyscy.*

Przyjechali do Lwowa

dnia 20 *lipca 1889.*

Hotel Żorża: St. hr. Konarski z Dubiecka. A. br. Larisch z Bulowic. P. Kleyle z Mödling. Dr. K. Lenartowicz z Kamionki. B. Jolles z Odesy. J. Cathrein z Kolonji. M. Lenartowicz z Kołomyi. J. Paygert z Streptowa.

Hotel Europejski: P. baron Brunicki z Tustanowa. T. Niemczewski z Śniatyna. Rotmistrz Nahlik z Brzeżan. W. Lewandowski z Bełzca. J. Sches z Satz. J. Ohrenstein ze Lwowa. L. Robitszek, E. Fischer i J. Herschmann z Wiednia.

Hotel Langa: A. Frankl z Wiednia. G. Dobiński z Krakowa. M. Reuter z Wiednia. M. Keller z Wiednia. J. Ader z Pilzna. A. Jankl z Wiednia.

Lwów. T. Izby handlowej 20 lipca 1889.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	190	25	193	75
„ lwow.-czern.-jass. 200 zł. w. a.	235	—	238	—
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	277	—	281	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	216	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Banku hyp. galic. 5 prc. w. n.	99	75	100	75
5½ Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 let	—	—	—	—
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	103	—	104	—
Banku krajowego 4½% w. a.	97	75	98	75
Tow. kred. galic. 5	100	80	101	80
„ 4	96	—	97	—
„ 5	100	80	101	80
„ 4	93	80	94	80
„ 4½%	98	75	99	75
„ 4%	92	80	93	80
3. Listy dłużne za 100 złr.				
G. Z. kr. wł. (d) 6%) 3% w likw.	57	50	59	—
„ (d) 5%) 2½%	48	—	50	—
4. Obligi za 100 złr.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	45	105	45
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100	50	101	50
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	104	—	106	—
„ 1883 4½%	96	50	97	50
5. Losy				
Losy miasta Krakowa	24	—	26	—
„ Stanisławowa	—	—	38	—
6. Monety				
Dukat holenderski	5.57		5.67	
Dukat cesarski	5.61		5.71	
Napoleondor	9.45		9.55	—
Półimperjał rosyjski	9.70		9.80	
Rubel rosyjski srebrny	1.36		1.48	
„ papierowy	1.20¼		1.22¼	
100 marek niemieckich	58	—	59	—

Z zbożowych targów

20 lipca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	7.40—7.9	7.20—7.75	7.——7.45	7.65—8.25
Żyto	6.25—6.50	5.90—6.40	6.——6.25	6.——6.65
Jęczmień	0.——0.—	6.——6.85	6.——6.50	0.——0.—
Owies	6.30—7.50	6.50—7.35	6.30—6.85	6.60—7.50
Groch	—.——.—	7.——9.50	7.——9.—	0.——.—
Wyka	—.——.—	0.——0.—	0.——0.—	—.——.—
Rzepak	16.——6.6	16.——16.50	15.85—6.6	16.——16.17
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. biała	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. szwed.	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Rzepak poszukiwany.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 20 lipca. godz. 1. min. 45.

Akcje kredyt	303·25	Węg. kolej półn. wschodn.	187·50
Alpiny	65·50	Wiedeńskie losy kom.	144·—
Kredyty węg.	316·50	Akcje tyton.	109·—
Anglobanki	124·—	Gal. obl. indem.	104·75
Uniony	225·—	Elbethale	213·50
Ludwiki	191·50	Länderbanki	231·60
Nordbany	253·—	Renta zł. węg.	99.85
Lombardy	120·25	Bankvereiny	106·—
Losy tureckie	30·75	Renta węg. pap.	95·—
Staatsbany	221·35	Ruble	1.21·50
Czerniowieckie	236·—		

Usposobienie spokojne.

Pociągi kolejowe.

podług zegaru lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z KRAKOWA: o godz. 8 m. 50 rano poc. osob.
„ 4 „ 8 po poł. „ kurj.
„ 7 „ 15 wieczór „ mięs.
„ 9 „ 28 „ „ osob.

Z PODWOŁOCZYSK (na dworzec główny lwowski):
o godz. 8 m. 15 w nocy poc. mięs.
„ 2 „ 20 po poł. „ kurj.
„ 7 „ — wieczór „ mięs.

Z PODWOŁOCZYSK: (na dworzec Podzamcze):
o godz. 2 m. 38 w nocy poc. mięs.
„ 2 „ 8 po poł. „ kurj.
„ 6 „ 22 wieczór „ mięs.

ZE STRYJA o godz. 12 m. 08 w nocy poc. osob.
„ 8 „ 26 rano „ „
„ 3 „ 36 po poł. „ „

Z CZERNIOWIEC: o godz. 6 m. 40 rano poc. mięs.
„ 8 „ — wieczór „ posp.
„ 11 „ 6 „ „ mięs

Z BEŁZCA: o godz. 5 m. 58 po poł. poc. mięs.

Odchodzą ze Lwowa:

DO KRAKOWA: o godz. 4 m. 20 rano poc. osob.
„ 7 „ 20 rano „ „
„ 2 „ 28 po poł. „ kurj.
„ 8 „ 30 wieczór „ osob.

Do ZIMNEJ WODY-RUDNO:
o godz. 4 m. 20 po pop. poc. osob.

DO PODWOŁOCZYSK (z głównego dworca):
o godz. 9 m. 52 pr. poł. poc. mięs.
„ 4 „ 11 po poł. „ kurj.
„ 10 „ 35 wieczór „ mięs.

DO PODWOŁOCZYSK (z dworca Podzamcze:)
o godz. 10 m. 28 przed poł. „ mięs.
„ 4 „ 22 po poł. „ kurj.
„ 10 „ 5 w nocy „ mięs

DO CZERNIOWIEC:
„ 9 „ 20 przedpoł. „ posp.
„ 9 „ 50 przed poł. „ mięs.
„ 10 „ 8 wieczór „ mięs

DO BEŁZCA: „ 7 „ 49 rano „ mięs.

DO STRYJA: „ 5 „ 50 rano „ osob.
„ 10 „ 20 przed poł. „ „
„ 8 „ 45 wieczór „

128)

OFIARA FATALIZMU.

POWIEŚĆ

Ksawerego de Montépin.

(Ciąg dalszy).

Ten sztylet który pan Polart wręczał komisarzowi policji, był — jak wiemy — jego własnością, stanowił część zbrojowni w jego sypialni; znało go conajmniej ze dwadzieścia osób i mógł stać się bardzo niebezpieczną przeciw niemu bronią, gdyby tylko baronowi przyszła kiedy ochota zadenuncjowania tego, którego w tej chwili uniewinniał.

Urzędnik przyjrzał się bacznie i starannie sztyletowi.

— Nie jestem ja wielkim znawcą w tym przedmiocie — rzekł wreszcie — ale zdaje mi się, że ten sztylet musi mieć znaczną wartość.

— Bez wątpienia — odpowiedział baron. — Jestto broń starożytna, w bardzo pięknym stylu, to też jest warta conajmniej dziesięć do piętnastu luidorów.

— Jakimże sposobem mogła się znaleść w ręku prostego rabusia?

— Prawdopodobnie skradł ją gdzie u jakiego rusznikarza albo gdzie w składzie starożytności. Gotów jestem założyć się, że się nawet nie domyślał jej wartości.

— To bardzo prawdopodobne.

— Panie komisarzu, czy mogę mówić dalej?

— Owszem, proszę bardzo.

— Mówiłem zatem — podjął pan Polart — że złodziej rzucił się z dziką zajadłością na wicehrabiego de Presles. Byłoby już po nim, gdyby nie miał był tyle przytomności umysłu, że skoczył w bok i chwycił że tak powiem w locie rękę, która trzymała sztylet. Ubezwładniony w ten sposób w swej morderczej napaści złoczyńca usiłował powalić pana de Presles. Przypuszczał widocznie, że upadając będzie zmuszony puścić pochwyconą rękę i że wtedy będzie mógł ugodzić go gdzie zechce. Rachunek ten na nieszczęście był słuszny, bo wicehrabia mimo siły i energji swej słabnął już pod razami, które nędzny morderca wymierzał mu lewą ręką w twarz i piersi. Krótko mówiąc, miał już uledz po zaciętej kilkuminutowej walce, kiedy nakoniec — niech Niebu będą za to dzięki! — przybyłem w sam czas na jego pomoc. Wobec tej niespodziewanej nowej siły, tego nowego przeciwnika zjawiającego się tak nagle, złodziej zaniechał walki, której rezultat był łatwym do przewidzenia. Rzucił sztylet już mu niepotrzebny i uciekł, jednym susem wyskoczywszy przez okno. Pobiegłem za nim, sądząc że muszę go zobaczyć rozbitego i pokrwawionego na bruku dziedzińca. Zapomniałem zupełnie o dachu na szopie, z którego on znowu zeskoczył zdrów i cały na ziemię i zniknął mi z oczu. Począłem krzyczeć: „Złodziej! chwytajcie złodzieja!“ Zbiegli się wszyscy. Wydałem rozkaz zarekwirowania siły zbrojnej i zawiadomienia coprędzej pana o tem co zaszło. Obecnie wiesz pan wszystko tak dobrze jak pan de Presles i ja.

Podczas tej dramatycznej opowieści barona kilkakrotnie dreszcz przeszedł po zbitych w grupę słuchaczach.

Rzecz oczywista, że nikomu — nie wyjmując komisarza policji — nie przyszło nawet na myśl, żeby podawać w wątpliwość prawdę opowiadania barona Polart.

Po chwili milczenia komisarz zapytał:

— Pan możesz mi niezawodnie dać dokładny rysopis złodzieja, nieprawda?

— Tak jest.

— Czy to był człowiek młody?

— Wydało mi się, że ma lat czterdzieści do czterdziestu pięciu.

— Wzrostu...

— Więcej niż średniego, tak coś z pięć stóp ośm cali, jeśli się nie mylę; budowa atlety, barki szerokie jak u mnie.

— Jak był ubrany?

— W bluzę z szarego płótna, spodnie niebieskie, sukienną czapkę z lakierowanym daszkiem. Czapka była naciśnięta na oczy.

— Włosy...

— Siwiejące i strzyżone krótko.

— Broda...

— Całkowita, dość długa i mocno czarna.

— Nie zauważyłeś pan jakiego szczególnego znaku?

— Jeden tylko, ale charakterystyczny.

— Jakiż to?

— Bliznę głęboką i sinawą idącą od kąta lewego oka aż do początku wąsów i tym sposobem przecinającą policzek na dwie połowy, mniej więcej równe...

Komisarz policji zrobił gest, oznaczający uznanie zupełne.

— Trudnoby dać dokładniejszy rysopis! — mruknął.

Potem, zwracając się do wicehrabiego de Presles, dodał:

— Pańskie wspomnienia są prawdopodobnie bezwzględnie równe z tem co pan tu słyszysz?...

— Najzupełniej, — odpowiedział Gontran, — nie mam ani słowa do dodania lub zmienienia w tem, co panu powiedział pan baron Polart... Byłbym powiedział toż samo najzupełniej...

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski** — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. Manieckiego. — Zarządca Walenty Hodak.